

NASZ DOM RZESZÓW

LISTOPAD 2020

NR 181

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Nr 11 (181)

ROK XVI

ISSN 1895-2046

Indeks 213039



9 771895 204101
Cena 4 zł w tym 5% VAT

15 lat razem

od listopada 2005

W NUMERZE:



Moje refleksje Jerzy Maślanka

WIRUSOWY JUBILEUSZ

Jest szczególna atmosfera,
w klubie się kolegium zbiera,
wieść radosna idzie w świat,
Nasz Dom ma 15 lat.

Najpiękniejsze i najprostsze,
że było się na kim oprzeć,
a redakcja i partnerzy
coraz szerzej, wyżej mierzy.

Cały Zodiak wysprzątany,
rozłożone już dywany,
radio głosi, jest w gazecie:
świątują 15-lecie!

Czytelnik zadowolony,
bo poczytny i ceniony
miesięcznik
ma 24 strony.

Ref.
Każda gala więz utrwała,
bawi, łączy i zespala,
mnóstwo gości i radości
oraz różnych przyjemności.

Jurek wciąż referat pisze,
już podwójny numer wyszedł,
artyści ze znacznym stażem
plener razem z wernisażem
nam w Hoszowie urządzili,
swym talentem zachwycili,
jubileusz tak uczcili.

Pan prezydent, proszę, proszę,
rzucił na to drobne grosze.
Podziękuj i pochwal,
i na pewno też ustali,
komu dyplom, gdzie medalik.

Niektórzy mają powody,
bowiem urząd wojewody,
znając ich twórcze kariery,
posłał wnioski o ordery.
Z pantoflowej poczty słyszę,
Gliński również coś podpisze.

A tu nagle niespodzianie
w całym naszym Lechistanie
covid – wirus faryzeusz
zakłócił nam jubileusz.
Nie pozwala byś był bliski,
gratulacje i uściski
to niestety – nie czas na to!
Bo cię czeka respirator.

Epilog
Brak nam szczęścia odrobiny,
lecz my sobie poradzimy.
Miesięcznika urodziny
zdalnie, sprytnie wyprawimy,
by autorzy i sponsorzy,
zasłużeni redaktorzy
usłyszeli ze wszech stron
podziękowań wdzięczny ton.
Wiwat ten Wasz „Nasz Dom Rzeszów”!

- 4 WSPÓŁTWORZYLI
MIESIĘCZNIK
- 8 MOWA PĘDZLA I DŁUTA
Andrzej Nowak-Arczewski
- 9 KULTYWOWANIE TRADYCJI
Anna LORENZ-FILIP
- 10 TRZYDZIESTE URODZINY TELEWIZJI
Jerzy Dynia
- 11 STOI NA STACJI LOKOMOTYWKA...
Andrzej Grzywacz
- 12 MIASTO ZABYTKÓW I OPERY
Wit Hadło
- 14 NASZYM DOMEM RZESZÓW
Edward Słupek
- 14 MASECZKOWA RULETKA
Kamil Łuka
- 15 TOMORROW BELONGS TO ME
Dorota Dominik
- 15 KORONAWIRUS KIEDYŚ MINIE
Bogusław Kobisz
- 16 ZERO TOLERANCJI DLA MOBBINGU
Sylvia Chodorowska-Kozień
- 17 ŻYCIE BARDZO BOGATE
Krystyna Leśniak-Moczuk
- 18 W PRZEDWOJENNYM RZESZOWIE
Zbigniew Grzyś
- 19 NIE DOCZEKAŁ
Bogusław Kotula
- 20 PAMIĘĆ CIĄGLE ŻYWA
Maria Stefanik
- 20 NA JAZZOWEJ TRASIE
Jerzy Dynia
- 21 MISTYCZNY ŻAR
Jan Belcik
- 22 JAN TULIK UHONOROWANY
Jan Belcik
- 22 KARTKI Z PAWLACZA
Stanisław Dłuski

Wiersz – magazyn literacki
Jakub Adamski • Jerzy J. Fajfara • Małgorzata
Zurecka • Anatol Diaczyński • Jerzy S. Nawrocki •
Miroslaw Welz • Anita Róg-Bindacz • Agata Linek-
Jaroszak • Edyta Pietrasz • Mieczysław A. Łyp •
Halina Kurek • Krzysztof Lechowicz • Mieczysław
Mularski • Tadeusz Masłyk • Marek Petrykowski •
Ryszard Mścisz • Bogusław Kotula • Jerzy Sułkowicz

- 28 GŁOS JAK WINO Z AMFORY
Zofia Stopińska
- 29 BEETHOVEN W DŹINSACH
Jerzy Dynia
- 30 SKRZYDLATE SŁOWA
Ryszard Zatorski
- 30 Z AMERYKI DO RZESZOWA
Andrzej Piątek
- 31 REALIZM MAGICZNY
Monika Midura
- 31 PAMIĘTAĆ O ARTYSTACH
Andrzej Szypuła
- 32 CAŁKIEM INNA REDAKCJA
Józef Ambrozowicz
- 33 WIROWANIE NA PLANIE
Roman Małek
- 33 ODPRYSKI
Zbigniew Grzyś
- 34 ROZMAITOŚCI

NASZ DOM RZESZÓW
MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

WYDAWCA: Stowarzyszenie Nasz Dom – Rzeszów

REDAGUJE ZESPÓŁ

Redaktor naczelny: Jerzy Maślanka, tel. 602 377 303
Zastępca red. nac., red. wydania: Ryszard Zatorski,
tel. 507 004 026, rzatorski@interia.pl
oraz Józef Ambrozowicz, Dorota Dominik, Jerzy Dynia,
Zbigniew Grzyś, Bogusław Kobisz, Jadwiga Kupiszewska,
Kamil Łuka, Roman Małek, Nina Opic, Andrzej Piątek,
Małgorzata Prokop, Piotr Rędziniak, Edward Słupek,
Zofia Stopińska, Andrzej Szypuła

Projekt graf., skład: Grzegorz Wójtowicz
WBX Studio Graficzne www.wbxstudio.pl

Adres redakcji:
35-103 Rzeszów, Hanasiewicza 4/210
tel. 790-790-265, 17 854-85-80
e-mail: redakcja@wbxstudio.pl
www.naszdom.rzeszow.pl

Nakład: 1800 egzemplarzy

Wydanie dofinansowane z budżetu Gminy Miasto Rzeszów

rzeszów
stolica innowacji

WBX STUDIO
GRAFIKARSTWO
WYDAWNICTWO
www.wbxstudio.pl

KULTURA
W RZESZOWIE

Słowa: Barbara Śnieżek, muzyka: Andrzej Szypuła

JESIENNA MELODIA

I
Po rzeszowskich ulicach
błądzi cicha muzyka,
nostalgiczną piosenkę ktoś gra.
Ta melodia na skrzypcach
wprost do duszy przenika,
pełna smutku i westchnień – jak ja.

Ref.
Jakże tęsknie drżą struny srebrzyste
i melodię tę rzewną gra wiatr,
to już jesień, z drzew spadają liście
i szarością maluje się świat.
Słońce skąpi już swojej czułości,
chłodnym płaszczem otula nas mgłą,
z ciemnej chmury na deszcz się zanosí,
pusto wokół i cisza tu trwa.

II
Piosenka dalej wędruje,
w drzew gałęzię się wplata,
struna smyczkiem muśnięta tak lka
i dźwiękami wibruje
niczym nimfa skrzydlata,
aż słuchaczom pojawi się iza.

Ref. Jakże tęsknie drżą struny...
III
Popłynęła melodia
wprost ze sceny na rynku,
gdzie maestro natchniony wciąż gra,
do kafejek zagląda,
pyta ludzi przy drinku,
czy w ich sercach nostalgia też trwa.

IV
Lecz w kawiarniach szczęśliwie,
uśmiechnięte oblicza,
więc piosenka rozchmurzyć się chce.
Widzi, że to możliwe,
jesień także zachwyca –
więcej smęcić nie będzie, o nie!

Ref.
Już wesoło drżą struny srebrzyste,
jakże skoczną melodię gra wiatr,
choć jesień, z drzew spadają liście
i szarością maluje się świat.
Chociaż słońce swej skąpi czułości,
chłodnym płaszczem otula nas mgłą,
z ciemnej chmury na deszcz się zanosí,
pusto wokół i cisza tu trwa.

Ref. Jakże tęsknie drżą struny...

Rzeszów, 17.05.2020

NASZ MIESIĘCZNIK

W roku jubileuszowym 15-lecia

W tym roku w listopadzie mija równo 15 lat od pierwszego wydania naszego miesięcznika. Dziś spotykamy się, mając przed sobą 181. wydanie czasopisma – listopadowe 2020. Przez wszystkie te lata nie zmienialiśmy formuły miesięcznika, pozostając jedynym w Rzeszowie, i nie tylko, prawdziwie oddanym kulturze czasopiśmiem. Miesięcznik „Nasz Dom Rzeszów” od początku nie tylko nazwą, nie tylko winietą przypomina, iż jest dzieckiem stowarzyszenia o tej samej nazwie. Można rzec, że jest jego najbardziej rozpoznawalną twarzą i świadectwem istnienia. Bez miesięcznika zapewne już dawno mało kto by w Rzeszowie zwracał uwagę na stowarzyszenie. A dzięki miesięcznikowi logo to znane jest nie tylko w mieście, ale na całym świecie poprzez obecność na stronie internetowej wszystkich wydań czasopisma w formie elektronicznej w tej samej postaci co wersja papierowa.

Jak teatr tworzą artyści i widzowie, tak i u nas nieodzowna jest więź z czytelnikami. W tych relacjach jednak nie ma znaku równości. Twórcy są zawsze na pierwszym planie. Bo jak bez aktorów i grona towarzyszących im artystów nie powstałby spektakl, tak każde wydanie naszego miesięcznika tworzą autorzy – ogromna rzesza oddanych wolontariuszy. Każdy znakomicie przygotowany merytorycznie i kompetentny w sprawach, w których wypowiada się na tych łamach. I to im – społecznym pasjonatom, którzy piszą i na ogół animują także działania artystyczne, literackie, upowszechniają kulturę oraz organizują różne zdarzenia w tej sferze, wzbogacając innych duchowo i emocjonalnie, całemu gronu osób zajmującemu się także inną publicystyką społeczną na naszych łamach – przekazujemy serdeczne podziękowania i wyrazy szacunku. Dziękujemy zarazem naszym przyjaciółom z firm, którzy wspierają finansowo ideę wydawania miesięcznika. Składamy pokłon czytelnikom, którzy są zawsze z nami, korzystając z naszych łamów, podpowiadają różne tematy.

Nasz miesięcznik jest jednym z nielicznych czasopiśmiem, gdzie tak wieloaspektowo przedstawia się problemy szeroko rozumianej kultury. Przywiązujemy bowiem ogromną wagę do tej właśnie dziedziny życia społecznego, odsuwanej zawsze na daleki plan w skomercjalizowanej rzeczywistości współczesnej. W naszym stałym dodatku – magazynie literackim „Wers” (ten jest 155) – prezentujemy dorobek twórców Podkarpacia, otwieramy szeroko łamy dla młodzieży debiutującej literacko. Odrębnym dodatkiem – adresowanym do dzieci, ich rodziców, wychowawców i opiekunów – jest „Pluszak” (ten ukazuje się już po raz 115).

Na naszych łamach publikowane są eseje i artykuły publicystyczne dotyczące zagadnień kultury i sztuki. Dziesiątki wybitnych postaci, kojarzonych z naszym miastem czy regionem, przypomnieliśmy w wywiadach, artykułach publicystycznych i esejistycznych. Nasz wspólny dom, nasz Rzeszów, który zmienia się pozytywnie – szczególnie w ostatnich latach – jest oczywiście w centrum naszej uwagi. Próbuje podpowia-

dać i dyskutować o wszystkim, co dotyczy naszego miasta i określa jego pozycję w kraju, Europie, świecie. Aby o Rzeszowie mówiło się wszędzie coraz lepiej.

Redaktorem naczelnym i pomysłodawcą wydawania miesięcznika jest Jerzy Maślanka, a redaktorem prowadzącym i programowym wszystkich wydań od listopada 2005 roku Ryszard Zatorski.

Czasopismo skupia krąg wolontariuszy, którzy publikują na naszych łamach bezpłatnie. Licząc z twórcami obecnymi w „Wersie” – do tej pory to kilkaset osób. Ale od samego początku, albo pra-



wie od wtedy, najwytrwalej i najczęściej goszczą na naszych łamach oprócz Jerzego Maślanki i Ryszarda Zatorskiego: Dorota Dominik, Edward Słupek, Bogusław Kobisz, Roman Małek, Zbigniew Grzyś, Piotr Rędziniak, Jerzy Dynia, Andrzej Szypuła, Andrzej Piątek, Józef Ambrozowicz, Bogusław Kotula, Jadwiga Kupiszewska, Zofia Brzuchowska, Stanisław Dłuski, Dorota Kwoka, a od dłuższego już czasu Zofia Stopińska, Andrzej Grzywacz, Sylwia Chodorowska-Kozień, Kamil Łuka, Bartosz Cyganik, Krystyna Leśniak-Moczuk, w przeszłości zaś także Justyna Adamiec, Małgorzata Wojnowska oraz Tadeusz Milanowski. Widoczna jest także autorska obecność Małgorzaty Prokop, która ma jednak przede wszystkim nieocenione zasługi w sprawach organizacyjnych stowarzyszenia i zespołu redakcyjnego. Towarzyszył nam od początku radą i publikacjami zmarły rok temu Zbigniew Domino oraz inni nieżyjący już autorzy, jak prof. Kazimierz Obodyński, dr Wacław Sobol, dr inż. Wiesław Sipowicz, dr Władysław Serwatowski i Edward Winiarski, a fotoreportersko Józef Gajda (obecnie wspomagają nas Aleksander Baranowski i Wit Hadło).

Stale obecni są autorzy rubryki „Rozmaitości” w miesięczniku – oprócz Jerzego Maślanki, Adam Decowski, Czesław Piotr Kondraciuk, Nina Opic, Iga Szumska, Regina Nachacz, Mirosław Welz. Podobnie do takich stałych autorów współpracujących dodatek dla dzieci, czyli „Pluszaka”, należą: Nina Opic, Katarzyna Lubas, Alicja Ungeheuer-Gołąb, Czesław Piotr Kondraciuk, Regina Nachacz i kompozytorka piosenek dla dzieci Renata Kątnik, a gościł też w podobnej roli Walde-

mar Wywrocki. Jadwiga Kawa zapewniała ilustracje w „Pluszaku” wykonywane przez jej uczniów ze Szkoły Podstawowej nr 25 w Rzeszowie, a obecnie czyni to Magdalena Rojek. Wspomagają nas podobnie nauczycielki i wychowankowie Gminnego Przedszkola w Malawie.

W magazynie literackim „Wers” publikowało w tym czasie kilkuset poetów i prozaików – jest to zarazem życziwa platforma promowania młodych twórców i ich debiutów literackich. Niektóre z tych osób mają już dziś umocowanie członkowskie w Związku Literatów Polskich, jak choćby Dorota Kwoka, Agata Linek-Jaroszak, Anita Róg-Bindacz.

Mam zaszczyt moderować programowo zarówno sam miesięcznik, jak i jego dodatki, za korektę odpowiada Ewa Pękala, a za graficzny i techniczny wyraz Grzegorz Wójtowicz, bowiem skład i druk miesięcznika powierzony jest wydawnictwu Wojciecha Borkowskiego – WBX Studio Graficzne w Rzeszowie. Do lutego 2013 roku współpracowaliśmy z wydawnictwem Ryszarda Świątoniowskiego RS DRUK.

Oczywiście tylko talentowi i uporowi redaktora naczelnego Jerzego Maślanki należy zawdzięczać organizowanie współpracy z różnymi firmami i ich właścicielami dla zapewnienia finansowania całego procesu wydawniczego czasopisma. Bowiem niewielka część tych kosztów jest dofinansowana przez samorząd miasta Rzeszowa, wszystkie pozostałe pieniądze – a jest to zdecydowana większość budżetu czasopisma – zdobywa właśnie prezes stowarzyszenia i redaktor naczelny Jerzy Maślanka. Bez niego nie byłoby możliwe wydawanie naszego miesięcznika.

Należy również – kontynuując wątek autorów wolontariuszy – podziękować środowisku literackiemu, w tym ZLP z jego kolejnymi prezesami Wiesławem Zielińskim, Martą Świdorską-Pelinko, Edwardem Bolcem, Mieczysławem A. Łypem, Mirosławem Welzem i obecnie Małgorzatą Żurecką oraz zaprzyjaźnionym związkom twórczym, jak chociażby RSTK, i współpracującym z nami znamienitym krytykom. Najczęściej swym piórem i wiedzą krytycznoliteracką służyli i służą redakcji: dr Zofia Brzuchowska, Ryszard Mścisz, Jan Tulik, Jan Belcik, ale publikowali w tym obszarze także dr Stanisław Dłuski, Mieczysław A. Łyp, dr Hanna Krupińska-Łyp, dr Anna Niewolak, Mirosław Grudzień, dr Jan Wolski, Mirosław Osowski i inni.

Wydawcą miesięcznika jest Stowarzyszenie o tej samej nazwie, czyli Nasz Dom – Rzeszów, które zostało zarejestrowane przez Sąd Rejonowy w Rzeszowie 9 października 2003 r.

■ Ryszard ZATORSKI

PODĄŻAJĄC PIÓREM

Za upływającym czasem



Jadwiga Kupiszewska

„Bóg stworzył człowieka z oczami z przodu, a nie z tyłu głowy, co znaczy, że człowiek ma się zajmować

tym, co będzie, a nie tym co było” – napisała w *Księgach Jakubowych* Olga Tokarczuk. Jubileusz miesięcznika „Nasz Dom Rzeszów”, jego 15. urodziny – to ludzie, którzy pisząc, idą z duchem czasu. Miesięcznik, któremu lat przybywa, jest ciągle młody, świeży, jest w nim grono

ludzi, którzy podążają piórem za upływającym czasem, jest gazetą wciąż oczekiwaną, czytaną. Jest to świadectwo charyzmy, indywidualności ludzi mających wciąż coś do zaoferowania czytelnikowi. Przybywają nowe twarze piszących, pojawia się nowa tematyka o współczesnym teatrze, o muzyce, poezji i malarstwie, o tańcu, o szkole, uniwersytecie, o ważnych zdarzeniach w polityce też.

15 lat to 181 numerów, każdy inny, rozpoznawalny przez ciekawą grafikę, czytany, ponieważ kumuluje te wartości, które decydu-

ją o intelektualnych zainteresowaniach społeczeństwa, opowiada o zdarzeniach oraz prezentuje osobowości, twórców z różnych dziedzin, którzy w codzienność wnoszą mądrość i radość. W dobie Internetu utrzymujący się na rynku wydawniczym miesięcznik, po który możemy sięgnąć w każdych okolicznościach, jest dowodem na to, że słowo pisane, ciekawe zdjęcie zawsze będzie bliskie czytelnikowi.

Powracam do noblistki, do cytatu Olgi Tokarczuk z książki *Bieguni*, w której napisała, „że papier stworzony został jako nośnik idei.

Papier do pakowania to marnotrawstwo. Jeżeli już coś pakować – to tylko w powieści i w poemacie, i zawsze tak, żeby to, co zawierane, i to, co zawierające, były ze sobą jakoś powiązane”. Miesięcznik „Nasz Dom Rzeszów” stał się nośnikiem kultury. Z okazji jubileuszu życzymy naszym Czytelnikom ciekawych horyzontów informacji, metafory w rejisie poprzez kolejne łamy miesięcznika.

■ Jadwiga KUPISZEWSKA,
rzeczniczka Stowarzyszenia Nasz Dom – Rzeszów

WSPÓŁTWORZYLI MIESIĘCZNIK

Nie będzie ich na jubileuszu, nigdy już nic nie napiszą, ani nie utrwalą w inny sposób. Byli przez wiele lat z nami, współtworzyli miesięcznik. Przypominamy ich w tym szczególnym miesiącu, gdy się czci pamięć zmarłych. Przypominamy w miesiącu naszego redakcyjnego jubileuszu. W takiej kolejności, jak odchodzili.

WACŁAW SOBOL (1946–2008)

Odszedł od nas na zawsze 20 października człowiek niezwykle – wspaniały kolega, syn, brat, mąż, ojciec, dziadek dwóch uroczych bliźniaków. Współtworzył Stowarzyszenie Nasz Dom – Rzeszów i znakomicie pracował w tej społeczności na rzecz miasta. Dr Waław Sobol był również jednym z aktywniejszych autorów naszego miesięcznika.

Do 1974 r. uczył się i pracował na terenie Jasła i Krosna, następnie rozpoczął pracę w Rzeszowie jako nauczyciel wówczas popularnego „Odlewnika”. Temu poświęcił całe swoje dojrzałe życie. Swoją solidnością, pracowitością, zaangażowaniem pokonywał kolejne bariery zawodowe i naukowe: od inżyniera do doktora nauk pedagogicznych. Od początkującego nauczyciela do wicedyrektora Zespołu Szkół Technicznych im. E. Kwiatkowskiego w Rzeszowie. Taki pozostał w naszej pamięci.

Był uosobieniem ogromnej wiedzy, taktu, elegancji. Darzyliśmy się sympatią i szacunkiem, wykonując zadania dydaktyczne i wychowawcze. Był nauczycielem, a potem moim zastępcą w kierowaniu szkołą. Nie kto inny, ale właśnie Wacek rozpędził maszynę europejskich programów edukacyjnych, która ruszyła od 2000 roku i do dziś toczy się zaprogramowanym



rytmem. Dzięki jego zdyscyplinowaniu i precyzji organizacyjnej ponad 500 uczniów ZST i kilkudziesięciu nauczycieli oraz pracowników oświaty odbywało i odbywa staże i praktyki zawodowe w większości krajów europejskich. W 2004 roku ówczesny podkarpacki kurator oświaty Stanisław Rusznica w przysłanym do szkoły piśmie gratulował nam: „W ogólnopolskim rankingu szkół realizujących europejskie programy edukacyjne jesteście liderem, sławiąc

szkołę, rzeszowską oświatę i miasto”. Cieszyliśmy się z tego wyróżnienia, ale wiedzieliśmy, że słowa te dotyczyły głównie Wacka. Otrzymał wiele nagród i wyróżnień: dyrektora szkoły, prezydenta, kuratora, ministra i innych.

Tydzień przed świętem edukacji z zaprzyjaźnionego greckiego miasta Lamia od jego burmistrza na ręce prezydenta Rzeszowa przyszedł list pochwalny nt. grupy młodzieży i ich opiekunów realizujących program „Młodzież w działaniu”, za co prezydent Tadeusz Ferenc przyznał dr. Sobolowi nagrodę, której nie zdążył już odebrać.

Swoim urokiem osobistym i talentem artystycznym jako twórca i wykonawca Waław Sobol uświetniał wiele imprez nauczycielskich, okolicznościowych i rozrywkowych, które znakomicie integrowały społeczność ZST. Ciągłe pamiętać będziemy refren piosenki: „A nam się marzy szkolna chata,/ miła uroczka i bogata,/ ją upiększamy w wspólnym trudzie,/ a żyją w niej wspaniali ludzie”. Kolega nasz pozostanie także w pamięci jako znakomity organizator, przewodnik i pilot wielu wycieczek zagranicznych. To była także jedna z wielu pasji Wacka, człowieka niezwykle życzliwego i skromnego. I taki pozostanie w naszej pamięci: pogodny, cierpliwy, szczerzy, mądry, usłużny i szlachetny.

Jerzy Maślanka

JÓZEF GAJDA (1933–2014)

Zmarł nagle, prawdopodobnie w swoje imieniny, na Józefa 19 marca, w tydzień po ukończeniu 81 lat życia. I ciągle wydaje się nieprawdopodobna i ta śmierć, i ten jego wiek, tak był niezwykle witalny, wszechobecny po reportersku z nieodłącznym aparatem fotograficznym, gdy tylko coś ważnego działo się w naszym mieście.

Miesiąc wcześniej w Zodiaku dokumentował jubileusz setnego numeru naszego miesięcznika. Józef Gajda był związany od początku z „Echem Rzeszowa”, ale i naszym czasopiśmie

chwilami na równi. Z jego zdjęć reporterskich na tych łamach pomieszczonych, także tych z jego dokumentalnego archiwum, już można by stworzyć ciekawy album.

Kochał Rzeszów i tę miłość po równo rozdzielał pomiędzy rodzinną wieś Grudna Kępska w gminie Biecz, które to królewskie miasto – podobnie jak Gorlice, gdzie spędził też kawałek zawodowego życia – bezustannie przypominał i słowem żywym, i zapisanym, a przede wszystkim obrazami fotograficznymi.

Zawsze pogodny, uśmiechnięty, niezwykle uczynny i życzliwy ludziom, którzy mu to odwzajemniali szczerą przyjaźnią i uznaniem. Doświad-

czał tego i ze strony prezydenta Tadeusza Ferenc, którego – rzecz by można – nie opuszczał na krok, choć było to tylko społeczne dokumentowanie wszelkich inicjatyw ratuszowych, wśród nich m.in. tych związanych z poszerzaniem obszaru miasta. Mówił o tym zawsze jak o czymś bardzo osobistym.

A mimo swych lat metrykalnych Józef ściągał się wręcz z młodszymi nieraz trzykrotnie fotoreporterami na różnych imprezach, jak np. na światowych polonijnych festiwalach. I ciągle jeszcze pojawia się w gazetach, także u nas, ze swym nazwiskiem przy zdjęciach, które robił przez całe życie. W październiku br. były jego fotogramy na

wystawie w Zodiaku podczas zgromadzenia Towarzystwa Przyjaciół Rzeszowa, a 4 marca 2019 r. w Galerii Fotografii Miasta Rzeszowa odbył się wernisaż wielkiej prezentacji jego dorobku, bo ta instytucja kultury dysponuje całością spuścizny fotograficznej Józefa Gajdy przekazanej przez jego rodzinę. Na zdjęciach są uwiecznione wydarzenia, miejsca, ludzie kultury i polityki, także z pierwszych stron gazet regionalnych i krajowych. Ale nie tylko oni. Będzie nadal z nami. Twórczy ludzie nie odchodzą na zawsze.

Jego prawdziwą rodziną, co dobitnie okazało się po śmierci, byli bliscy z jego rodzinnej Grudnej Kępskiej na czele z siostrzenicą Elżbietą Solarz, córką jego najmłodszej siostry, i bratankiem Piotrem Gajdą, który teraz z aparatem wujka kontynuuje jego dzieło. Tam spędzał święta, tam bywał często i aktywnie uczestniczył we wszystkim, czym żyła wieś. Nic zatem dziwnego, że gdy 29 marca 2014 roku w kościele w Harklowej ksiądz odczytywał przy urnie, kto zamówił mszę w jego



intencji, była to wręcz ogromna lista nie tylko rodzinna, ale i od rady sołeckiej, i koła gospodyń, i strażaków miejscowych...

Powrócił do tych urokliwych krajobrazów zapisanych w jego sercu i fotografiach, powrócił do bliskich, którzy spoczęli już wcześniej w mogiłach na harklowskim cmentarzu. Pozostało wiele gazetowych i fotograficznych dowodów jego związków z rodzinną wsią, która uhonorowała go jednym z sześciu medali wybitnych z okazji 600-lecia tej miejscowości. Dowodów wdzięczności za społeczną działalność miał on wiele z różnych stron, m.in. od samorządu miejskiego Biecza i Rzeszowa, także i w filatelistycznym środowisku się bardzo zasłużył, i w regionalnych stowarzyszeniach, skąd nasz Rzeszów reprezentował nawet w krajowych władzach. Odszedł nagle, ale został w naszej pamięci – pogodny, jakim był zawsze i jaki będzie się wciąż jawił we wspomnieniach.

Ryszard Zatorski

EDWARD WINIARSKI (1959–2015)

Edward Winiarski pojawiał się regularnie w redakcji z kolejnymi tekstami, a w połowie miesiąca zawsze punktualnie po wydania naszego czasopisma, w którym od wielu lat gościł niezmiennie z tym swoistym filozoficznym przekazem aforystycznym o życiu i ludziach. Ale nie tylko, bo publikowaliśmy w „Wersie” także jego prozę literacką, a również i publicystyczne wypowiedzi, by przypomnieć chociażby przypomnienie przezeń na naszych łamach znakomitego poety Jana Bolesława Ożoga w stulecie urodzin, pod znamennym tytułem „Autentysta z Nienadówki”, bo stamtąd pochodził właśnie ów wybitny twórca.

Podobnie jak i sam Edward Winiarski, urodzony 22 lutego 1959 r. w Sokołowie Małopolskim, a mieszkający właśnie w Nienadówce. Był wielkim patriotą swej wsi – swej małej ojczyzny.



Pisał o niej, o gminie, o zasłużonych ludziach wywodzących się stamtąd i publikował owe przemys-

lenia głównie w prasie regionalnej, ale i w ogólnopolskich tytułach. Przyjaźnie traktował zawsze innych, gdy pojawiał się ze swym znamennym powitaniem na dzień dobry: pokój temu domowi.

W sierpniu nie pojawił się jednak w naszej redakcji. Niebawem dobiegła nas przykra wiadomość, że zmarł 16 sierpnia br. i tamże, w swojej ukochanej Nienadówce, został pożegnany 18 sierpnia 2015 r. i pochowany na miejscowym cmentarzu parafialnym. Pamiętając wciąż owe powitania, można rzec już tylko ze smutkiem: pokój tobie wieczny, Edwardzie.

Edward Winiarski – absolwent krakowskiej Akademii Rolniczej, regionalista, publicysta, poeta, fraszkopisarz, prozaik – był autorem tomików fraszek: *mowa s-trawa* (1995) i *Zbiór fraszek* (2005), także laureatem wielu regionalnych i ogólnopolskich konkursów literackich. Zawsze żarliwie i z pasją dopominał się prawdy dotyczącej tradycji jego wsi.

Ryszard Zatorski

KAZIMIERZ OBODYŃSKI (1941–2015)

Kilka dni wcześniej był jeszcze z nami na spotkaniu stowarzyszenia, które współtworzył i aktywnie wspierał, także jako członek zespołu redakcyjnego miesięcznika. Wyraził wtedy intencję, by jedno z kolejnych zebrań Naszego Domu – Rzeszowa odbyć w jego dworcu w Targowiskach. Miał wiele innych planów, które nagle zamknęła śmierć po tragicznym wypadku samochodowym na ul. Sikorskiego 14 października 2015 br., gdy był już niedaleko domu. Pokonał kilkakrotnie jedną z najgroźniejszych chorób współczesnych, a odszedł tak niewiarygodnie i niespodziewanie.

Dla nas pozostanie na zawsze w żywej pamięci jako przyjaciel niezwykle, serdeczny. Od półwiecza był związany ze środowiskiem akademickim w regionie, które współtworzył ofiarnie i ambitnie. Trafnie go pożegnano w jego uniwersyteckim gronie, zapisując na stronie internetowej UR: „Odszedł wspaniały Człowiek,



wybitny Profesor, mentor studentów i młodych naukowców, oddany ludziom i sprawom uczelni. Człowiek o wielkim umyśle, przepięknym wnętrzu, wielkiej życzliwości i serdeczności, cieszący się olbrzymim szacunkiem i sympatią

każdego, kto miał zaszczyt spotkać Profesora na swojej drodze”.

Był prekursorem i pionierem nauk o kulturze fizycznej w Rzeszowie i na Podkarpaciu – tak utrwalono w księdze jubileuszowej, którą swego czasu przyjaciele, współpracownicy i wychowankowie honorowali kilkudziesięcioletni dorobek naukowy profesora Kazimierza Obodyńskiego, dziekana Wydziału Wychowania Fizycznego Uniwersytetu Rzeszowskiego, w przeszłości również wszechstronnego sportowca, nie wyłączając sztuk i sportów walki. Podwaliny studiów WF tworzył prof. Obodyński jeszcze za czasów rzeszowskiej WSP. Jego dziełem są podobne studia w Krośnie. I to jego niespożyta aktywność organizatorska sprawiła, iż Rzeszów może się szczycić tym, iż powstał tu jako pierwszy w Polsce uniwersytecki wydział wychowania fizycznego z liczącą się kadrą samodzielną pracowników naukowych. A wśród nich był ich lider – prof. zw. dr hab. Kazimierz Obodyński, który jako pierwszy wśród rzeszowskich akademików uzyskał także unijny tytuł profesorski. Prof. Obodyński dbał bardzo oraz zabiegał o utrzymywanie i roz-

wzajemnej partnerskiej akademickiej współpracy międzynarodowej na wielu kierunkach, zwłaszcza w europejskiej przestrzeni.

Przypomnijmy, że ten zasłużony rzeszowianin (notabene jeden z najznamienitszych przedstawicieli Stowarzyszenia Nasz Dom – Rzeszów) rodowymi korzeniami sięgał poza dzisiejszą granicę wschodnią, bowiem prof. Obodyński urodził się 21 października 1941 r. w Berdyczowie, skąd powrócił do Polski podczas akcji repatriacyjnej. W 1964 r. ukończył studia na warszawskiej AWF i otrzymał nakaz pracy w Liceum Ogólnokształcącym w Chojnie. Pracował tam jako nauczyciel WF w latach 1964–1967. Potem już związał się na stałe z Rzeszowem. Zatrudniony był w Wojewódzkim Ośrodku Sportu, Turystyki i Wypoczynku na stanowisku starszego instruktora-trenera, koordynatora piłki siatkowej (1967–1968). A potem związany był z rzeszowską uczelnią humanistyczną – najpierw Wyższą Szkołą Pedagogiczną, a od 2001 r. z Uniwersytetem Rzeszowskim. Rozpoczął pracę w 1968 r. na stanowisku kierownika Studium Wychowania Fizycznego.

Tytuł doktora nauk wychowania fizycznego obronił na macierzystej Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie w roku 1977 i został adiunktem. Również AWF w Warszawie nadała

mu w 1994 r. tytuł doktora habilitowanego nauk o kulturze fizycznej w zakresie teorii wychowania fizycznego. Od 1994 r. był profesorem nadzwyczajnym WSP w Rzeszowie i dyrektorem Instytutu Wychowania Fizycznego i Zdrowotnego WSP (od 2001 r. Uniwersytetu Rzeszowskiego). Ważna i bogata jest też biografia prof. Obodyńskiego jako trenera i działacza Resovii.

Od powołania Wydziału Wychowania Fizycznego UR był dziekanem tej jednostki uczelnianej. Równocześnie pracował we wspomnianym okresie w nowo powstałych na Podkarpaciu uczelniach – Wyższej Szkole Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie jako kierownik Zakładu Turystyki i Rekreacji (prof. nadz. WSiIZ 1998–2002), Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Krośnie (prof. nadz. PWSZ od 1999) oraz jako prorektor (2000–2004) i dyrektor Instytutu Kultury Fizycznej (2005–2006). Wszędzie wnosił swoją sportową pasję i świetne zdolności organizacyjne oraz talent pedagogiczny.

Był promotorem wielu doktorów oraz kilkuset magistrów.

Profesor Obodyński jest autorem ponad 200 publikacji naukowych, redaktorem kilkudziesięciu wydawnictw monograficznych, w tym także w języku angielskim, znajdujących się na liście cytowań. Był też redaktorem lub współ-

redaktorem międzynarodowych monografii. Należał do Polskiego Towarzystwa Naukowego Kultury Fizycznej, był prezesem Podkarpackiego Towarzystwa Kultury Fizycznej w Rzeszowie, prezydentem European Academy for the Carpathian Euroregion – EACE oraz członkiem International Association for Sociology of Sport (IASS) i European Association for Sociology of Sport (EASS). Poza sportem i nauką interesował się budownictwem, architekturą, dworami polskimi i oczywiście turystyką.

Prof. Kazimierz Obodyński był wielokrotnie honorowany ministerialną nagrodą za osiągnięcia dydaktyczne i wychowawcze. Znajdował się w gronie zaledwie kilkunastu trenerów i działaczy akademickich w kraju, którzy otrzymali nagrody im. E. Piaseckiego, zasiadał w radzie naukowej Uniwersytetu w Preszowie i jako jedyny Polak był członkiem słowackiej komisji akredytacyjnej ds. tytułów naukowych. Pełnił honorową funkcję prezesa Resovii, przez szereg lat przewodził Komisji WF w ZG ZNP, był członkiem honorowym Stowarzyszenia IDOKAN Polska i prezydentem Europejskiej Akademii na rzecz Euroregionu Karpaty (EACE).

Ryszard Zatorski i Jerzy Maślanka

WIESŁAW SIPOWICZ (1940–2017)

Był jednym z kręgu społeczników związanych z naszym miesięcznikiem i stowarzyszeniem. Tylko nieliczni potrafią z taką pasją i zapałem – jak to on czynił – traktować kluczowe problemy cywilizacyjne zawarte w pojęciu ekologia.

Przeszedł wszystkie szczeble kariery od pracownika fizycznego do dyrektora zakładu. Pracował między innymi w rzeszowskiej WSK, Zelmerze, Polamie i Unitrze. Po reaktywowaniu w Politechnice Rzeszowskiej w 1991 r. inżynierii środowiska, został adiunktem w Zakładzie Zopatrzenia w Wodę i Odprowadzania Ścieków na Wydziale Budownictwa, Inżynierii Środowiska i Architektury, gdzie prowadził działalność dydaktyczną i badawczą.

Potem już dr inż. Wiesław Sipowicz jako emerytowany nauczyciel akademicki nadal był aktywny społecznie. Autor licznych publikacji naukowych o praktycznych walorach. Jego wysokie kompetencje zostały docenione przez Ministra Ochrony Środowiska poprzez przyznanie mu uprawnień ministerialnego rzeczoznawcy.



Opracował dla Rzeszowa autorski program gospodarki odpadami. Wiedział, że przy unijnych preferencjach nie wolno przegapić szansy rozbudowania miejskiego recyklingu

odpadów do poziomu, jaki jest w USA. Marzył o stworzeniu sportowego banku informacji oraz funduszu wsparcia dla byłych sportowców podupadłych zdrowotnie.

W młodości był znanym sportowcem – siatkarzem. I to on zainicjował, stworzył i kierował kołem Korzenie Rzeszowskiej Siatkówki pod patronatem Stowarzyszenia Nasz Dom – Rzeszów. Ta grupa społeczników doprowadziła do uhonorowania niezjącego Jana Strzelczyka, wybitnego siatkarza, trenera i wychowawcy, nadaniem jego imienia hali na Podpromiu.

Wiesław Sipowicz był uhonorowany odznaką Podkarpackiego Związku Piłki Siatkowej oraz srebrną odznaką honorową Polskiego Związku Piłki Siatkowej. Często powracał do tradycji rzeszowskiej siatkówki w publikacjach zamieszczanych m.in. w naszym miesięczniku. Wydał też pod auspicjami Stowarzyszenia Nasz Dom – Rzeszów w Wydawnictwie RS DRUK pomnikową książkę na ten temat swego autorstwa pt. *Korzenie sukcesów rzeszowskiej siatkówki. Moje wspomnienia* (2011).

Zmarł 6 marca 2017 r. w wieku 77 lat. Pochowany został na cmentarzu Wilkowyja w Rzeszowie.

Ryszard Zatorski

ZBIGNIEW DOMINO (1929–2019)

Pisarz sybirak był przez wiele lat obecny na naszych łamach nie tylko literacko, ale także jako znakomity publicysta rubryki *Ludzie i sprawy*. Tamże kilkakrotnie i bezskutecznie jak dotąd upominał się o naprawienie krzywdy wyrządzonej ongiś pamięci Anieli Krzywoń, o przywrócenie w Rzeszowie ulicy imienia tej

sybiraczki, poległej w historycznej bitwie pod Lenino 12 października 1943 roku. „Ochotnikiem z tajgi do Wojska Polskiego dotarła i... poległa pod Lenino – napisał równo siedem lat temu w listopadowym wydaniu. – Niejako symbolicznie była pierwszą kobietą, która w tej krwawej bitwie zginęła. Nie namawiam, żeby odebrane imię przywracać tej samej uliczce, która ongiś imię Anieli Krzywoń nosiła. Ale apeluję do Prezydenta i Rady Miasta o nadanie imienia Anieli Krzywoń jednej z nowych ulic w naszym

coraz bardziej obszarowo rozrastającym się mieście. Wierzę, że tak się stanie. A wtedy Rzeszów nie tylko naprawi tę krzywdę i nie powstydzi się jak wiele innych polskich miast – m.in. Warszawa, Kraków, Łódź, Szczecin, Zielona Góra czy choćby nasza Nowa Dęba – w których ulice Anieli Krzywoń po dziś dzień istnieją i nikomu rozsądnemu do głowy nie przychodzi, żeby ich nazwę zmieniać”.

Pisarz nie doczekał jubileuszu 90-lecia swych urodzin, który przypadał na dzień 21 grud-

nia, bo zmarł 11 czerwca 2019 roku. Nie doczekał też chwili, by zobaczyć *Sybiraczkę*, ostatnią swoją książkę, wydaną jak poprzednie z tego syberyjskiego cyklu przez warszawskie Wydawnictwo Studio Emka Jacka Marciniaka. Tenże przyjaciel pisarza i wydawca też niestety zmarł 28 września 2020 r. Promocja *Sybiraczki*, wedle wcześniej wyrażanego życzenia przez pisarza, odbyła się w jego rodzinnej Kielnarowej – 15 grudnia 2019 r. w Centrum Rekreacyjno-Kulturalnym. W tym samym miejscu, w tymże obiekcie, gdzie spotykaliśmy się na prezentacji poprzednich książek tego autora i z jego udziałem. Pojawili się bliscy z rodziny pisarza, w tym przede wszystkim jego młodszy brat Tadeusz, z którym Zbigniew przeżył wszystkie koleje zesłańczego losu na Syberii, ale i syn pisarza Sławomir.

Pamięci swojej żony Basi poświęcił tę opowieść dokumentalną, której bohaterem jest książka... kucharska jego mamy i do której przylgnęło miano sybiraczki, bo towarzyszyła ciągle pisarzowi – jedyne namacalne świadectwo niczym to niezatarte nigdy piętno Sybiru, którym był naznaczony. Sybir zabrał mu bowiem dzieciństwo, bo jako dziesięcioletni chłopiec 10 lutego 1940 roku został wywieziony z całą rodziną oraz innymi Polakami z podolskiej wsi Worwo-



styczniowy wieczór 2018 roku w Kielnarowej podczas promocji – wydawało mu się wtedy – swojej ostatniej książki, nazwanej zmiennie *Zakłęty krąg* (2017), którą zakończył obrazem, jak w sześćdziesiąt siedem lat później stoi ze

sagi syberyjskiej. Ba, pisarz wręcz przywołuje obszernie cytaty z *Zakłętego kręgu*, jak i z *Syberiad polskiej* (2001), owej powieści-matki całego cyklu sybirackiego. I niejako potwierdza to, co i tak zawsze czytelnicy kojarzyli, że główny bohater tych książek, Staszek Dolina, to ponieważ odzwierciedlenie losów samego Zbigniewa Dominy. *Sybiraczka* dla tych, co nigdy nie zetknęli się z prozą tego autora, może być zachętą do poszukania innych jego książek sybirackich, a może nie tylko, dla wielu zaś ciekawym przypomnieniem i pogłębionym rozwinięciem faktów związanych z pisarzem, jego rodziną i bliskimi mu osobami, jak córka Grażyna i syn Sławomir. Wszystkie książki z tego cyklu mają też rozpoznawalną spójność graficzną autorstwa Jacka Woźniaka, zięcia pisarza.

Zbigniew Domino ten kresowo-syberyjski cykl literacki rozpoczął od *Syberiad polskiej* (2001), także zekranizowanej przez Janusza Zaorskiego w filmie pod tym samym tytułem, potem był *Czas kukulczych gniazd* (2004) i jakby suplement do tych powieści *Tajga. Tamtego lata w Kajenie* (2007), następnie wydał *Młode ciemności* (2012) i wspomniany już *Zakłęty krąg* (2017), a wcześniej także poszerzony zbiór opowiadań *Cedrowe orzechy* (2014), które w pierw-



lińce pod Zaleszczykami na syberyjskie zesłanie. Bile sześć lat, cztery miesiące i dwa tygodnie w syberyjskiej tajdze... Skrajne warunki życia i pracy, śmierć matki, wojenne losy ojca, sieroca tułaczka z młodszym bratem, no i powrót do Polski dopiero 17 czerwca 1946 roku.

W łagrze w Kaluczem, w syberyjskiej tajdze nad Pojmy, stracił matkę Antoninę zaledwie w trzy miesiące od momentu, gdy ich tam osadzono. Pozostała po niej ta książka kucharska z jej odręcznymi notatkami na marginesach, w tym m.in. z owym przesłaniem, które zapisała, a być może sama ułożyła: „Odważnym w życiu trzeba być,/ Ze strachem w sercu trudno żyć./ I mężnie w życiu staczać bój,/ Za prawdę i za honor swój”. Nauczył się tej strofy na pamięć i nierzadko ją przytaczał, jak choćby w ów-

swym młodszym bratem Tadkiem, też sybirakiem, na rampie kolejowej w Worwolińcach, gdzie „wszystko się zaczęło i tutaj się kończy”. W *Zakłętym kręgu* autor różne formy wypowiedzi – reportaży, dziennik, listy, wiersze, recenzje i opracowania – łączy własną osobowością dyskretnego komentatora i objaśniającego wydarzenia. Pisarz zwrócił wtedy uwagę na to, jak ważne jest dla niego, że ma gdzie powracać – do miejsca urodzenia, do swojej Kielnarowej... Tam pokazał też wtedy uczestnikom spotkania ową książkę matczyną, sybiraczkę, jak ją określił.

Jego książka *Sybiraczka* (2019) wprawdzie w założeniu autorskim była dokumentem jego życia, a nie literacką opowieścią, to jednak zarówno w narracji, opisach, żywych dialogach nie odbiega od klimatu fabularnych powieści całej

szym wydaniu z 1974 roku są jakby szkicem i prapoczątkiem tej powieściowej odysei sybiraków. I w tym szeregu należałoby także postawić *Czas do domu, chłopaki* (1979), bo w tej powieści główny bohater sierżant Stanisław Rodak, sybirak i żołnierz, który po wojnie na Ziemiach Odzyskanych się pojawia, to wszak jakby z rodziny Dolinów, z którą spotykamy się we wszystkich tych książkach Zbigniewa Dominy. Gdyby – jak w *Cedrowych orzechach* – mógł autor w kolejnym wydaniu poprawić, to zapewne też zamieniłby Rodaka na Dolinę.

Proza tego pisarza tłumaczona była na języki obce, w tym *Syberia dla polska* kolejno na ukraiński, francuski, rosyjski i słowacki. I sama już sobie toruje drogę, bo książki i ludzie mają swoje losy. *Syberia dla polską* znawcy literatury

określili dziełem o niepowodzeniu epickiej skali na tle powieści i relacji pamiętnikarskich z Sybiru innych autorów. Bowiem najobszerniej i najdokładniej w dotychczasowym piśmiennictwie polskim ujmując w literackiej formie tematykę zesłańczą. Ów wspomniany epicki cykl powieściowy, zapoczątkowany tą książką, najpełniej oddaje tragiczną, masową zsyłkę Polaków na Sybir, a wyróżnia je dodatkowo to, że pisarz głównym zbiorowym bohaterem czyni polskich chłopów wywiezionych przez Sowieców z Kresów Wschodnich przedwojennej Rzeczypospolitej. Ten kresowo-syberyjski cykl powieściowy Dominicy przetwarza się już potem w *Czasie kukułek gniazd* na czas tużpowojenny. Zdecydował się też autor kontynuować opis losów swoich bohaterów, zwłaszcza Staszka Doliny, i w *Młodych ciemnościach*. Pisarz wcale nie z zarzucenia twierdził, że z różnych powodów nikt dziś nie napisze takiej książki z punktu widzenia jego pokolenia, pokolenia dzieci wojny. Nie obawiał się wyznać: – Dorastałem w Polsce Ludowej. Przeżyte nie mija, powraca w pamięci, odkłada się warstwami doświadczenia. Zapewne zapamiętane i opisane subiektywnie. Ale realia są

prawdziwe i dlatego zdecydowałem się. Na nich oparta jest konstrukcja tej powieści. Trwały jest też ten łącznik syberyjski. Na tym chłopaku, Staszku Dolinie, owe lata wojenne i tużpowojenne ciążyły i ciążyć będą do końca żywota. Po pierwszej euforii, że przeżył Sybir i jego zachwyceniu Polską, która jest, lecz czasem której on coraz bardziej nie rozumie, jest zdziwiony tym, co się w jego kraju dzieje. Wyobrażał sobie raj odzyskany, a tutaj brat do brata strzela i te wszystkie powojenne perypetie wokół... Dlatego los tego pokolenia wydawał mi się taki ważny – wyznał w jednym z wywiadów pisarz sybirak.

Pisarz prawdziwy, człowiek wielkiego serca, przyjazny ludziom. Był ciągle taki, jakim go zapamiętałem przy pierwszym poznaniu wtedy, gdy jako redaktor naczelny miesięcznika społeczno-kulturalnego „Profie” od 1975 roku przez pięć lat nie tylko był szefem naszego zespołu redakcyjnego, ale zarazem przyjacielem i przewodnikiem życiowym. Taki pozostał do końca życia. Nie lubił sztucznej podniosłości. Cenił też szczerłość u innych. Z ogromnym szacunkiem odnosił się do osób podejmujących próby łączenia tych, których podzieliła wojna. Wrócił do swego gniazda.

Mieszkał w Rzeszowie. Syberyjska odyseja w jego książkach jest literackim świadectwem koszmaru wywózki i lat zesłania sybiraków oraz szukaniem miejsca dla siebie w nowej Polsce w pierwszych latach po wojnie. Nic dziwnego, że w tych powieściach, „które dzieją się naprawdę”, autor zawarł zdarzenia prawdziwe i prawdopodobne. – Nie obawiam się, że będę postrzegany jako pisarz jednego tematu – twierdził Zbigniew Domino, który ma w swym dorobku pisarskim jeszcze kilkanaście innych książek, odbijających jak w lustrze m.in. złożone losy ludzi walczących z okupantem i ich pogmatwane ścieżki w powojennej Polsce, by wspomnieć chociażby *Wicher szalejący*, *Błędne ognie*, *Bukową polaną* albo wymienianą już *Czas do domu, chłopaki*. Pierwsze opowiadanie pt. *Opowieść znad wody* opublikował w „Tygodniku Kulturalnym”, potem napisał kolejne. Debiutancki tom opowiadań pt. *Pragnienia* ukazał się w 1967 roku. Niestety droga życia i pisania Zbigniewa Dominicy została już zamknięta. Pozostanie pamięć i świadectwo w postaci książek o niezaprzeczalnej wartości.

Ryszard Zatorski

WŁADYSŁAW SERWATOWSKI (1949–2020)

W poniedziałek 6 kwietnia 2020 r., w dniu, gdy ukazał się nasz kolejny miesięcznik, przyszła ta wiadomość: „Ze smutkiem zawiadamiam, że 27 marca br. mój Mąż Władysław Serwatowski zmarł. Chorował od pięciu lat, ale ogromną przyjemność sprawiały Mu otrzymywane od Redakcji kolejne wydania pisma Nasz Rzeszów. Serdecznie za te miłe gesty dziękuję. Pozdrawiam Martę Serwatowską”.

Wielki żal, bo dr Władysław Serwatowski był nie tylko naszym wiernym czytelnikiem, ale przede wszystkim ogromnie znaczącym dla nas autorem. Wielkim erudyta, znawcą sztuki i jej popularyzatorem w kraju i na świecie, także na naszych łamach. Wielokrotnie przewodniczył jury Biennale Plakatu Teatralnego powiązanego z Teatrem im. W. Siemaszkowej. Ogromnie wrażliwy patriotą, wyczulony na wszystko, co mocowało znacząco nasz kraj w świecie. Podróżował i wykładał na wielu uczelniach. Z naszym czasopiśmem utrzymywał ważne dla nas kontakty, odkrywał i przypominał wielkie postaci z kręgu kultury, które miały związek z naszym miastem i regionem. Z warszawskiej perspekty-



wy przybliżał także wydarzenia, które działy się w stolicy, a dotyczyły choćby pośrednio naszego regionu. Żal wielki, że nie będziemy mogli go już gościć na naszych łamach.

Władysław Serwatowski był doktorem nauk humanistycznych, weksylogologiem, promotorem polskiej kultury, absolwentem Wydziałów Filozofii KUL oraz Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW. Pracował dla Teatru im. Juliusza Osterwy w Lublinie, Teatru Współ-

czesnego im. Edmunda Wiercińskiego we Wrocławiu, Teatru Narodowego w Warszawie oraz był współzałożycielem Centrum Sztuki Studio im. Stanisława Ignacego Witkiewicza w Warszawie. Długie lata związany z Polską Agencją Inwestycji Zagranicznych i Instytutem Adama Mickiewicza. Był wykładowcą w Akademii Sztuk Pięknych, Collegium Civitas oraz Polsko-Japońskiej Wyższej Szkole Technik Komputerowych w Warszawie.

Komisarz Generalny Polski na Wystawie Uniwersalnej EXPO 92 w Sewilli. Inicjator projektu Flagi Ziemi i założyciel Centrum Flagi Ziemi.

Organizator I Światowego Kongresu Plakatoznawczego (1994) i XVI Międzynarodowego Kongresu Weksylogicznego (1995) w Warszawie.

Członek licznych organizacji, m.in. Międzynarodowej Organizacji Ekspertów Ordineks w Genewie, FIAV (Międzynarodowej Federacji Stowarzyszeń Weksylogicznych); autor tekstów na temat kultury i sztuki w ponad 100 tytułach prasowych w 20 krajach oraz w kilkudziesięciu katalogach międzynarodowych. Organizator i kurator licznych wystaw artystycznych oraz juror międzynarodowych konkursów.

Ryszard Zatorski

MOWA PĘDZLA I DŁUTA

Wystawa w Miejsko-Gminnym Ośrodku Kultury w Ożarowie

W Miejsko-Gminnym Ośrodku Kultury w Ożarowie otwarto wystawę „Uniwersalna mowa pędzla i dłuta”, na którą składają się prace plastyczne Jadwigi Kupiszewskiej i rzeźby Józefa Pałaca, który niebawem będzie obchodził 50-lecie pracy artystycznej. Wystawę można oglądać do końca roku. Dyrektor MGOK

Marian Sus zdradził tajemnicę, skąd te prace wzięły się w Ożarowie. Otóż przebywał on z instruktorką plastyki Eleonorą Diener-Czubą na plenerze, tam poznał artystów i postanowiono zorganizować wystawę.

Krytyk sztuki Tomasz Staszewski stwierdził, że w batikach Jadwigi Kupiszewskiej jest

dużo ruchu. – Są przedstawione ptaki w pędzie, jakby płynęły, biegły. Nie ma tu nudy, żadne linie nie są równoległe, przecinają się, są pełne życia. Malarskość jest pokazana poprzez kolor. Dwa obrazy olejne są realistycznie namalowane, profesjonalnie, kolorystyka jest zharmonizowana. W rzeźbach Józefa Pałaca zauważył, że

twarz w nich jest bardzo szczerze odzwierciedlana jak to bywa w sztuce ludowej. – Wartości dekoracyjne, ramy harmonizują z dekoracyjną całością. Tu jest klimat dawnych sztychów XIX-wiecznych. Każda rzeźba ma inny wyraz, wszystkie trzymają się pnia jednego drzewa. Zachowana jest w nich dekoracyjna jedność. Sztuka prawie profesjonalna i sztuka ludowa, dwa różne style, dwie różne konwencje – podkreślił Tomasz Staszewski.

Podczas wernisażu burmistrz Marcin Majcher podziękował artystom za przyjazd do



Na wernisażu. Od lewej Eleonora Diener-Czuba, Jadwiga Kupiszewska, Marian Sus, Józef Pałac i burmistrz Marcin Majcher

Ożarowa i prezentację sztuki, która tak mocno sięga do folkloru, do tego, co widzimy wokół nas. – To olbrzymie przeżycie dla nas, miłośników sztuki – powiedział. Gdy już minie

Na to nie możemy szczędzić pieniędzy.

■ Andrzej NOWAK-ARCZEWSKI

KULTYWOWANIE TRADYCJI

Nowe stroje ludowe dla zespołu

Gminny Ośrodek Kultury w Hyżnem po raz pierwszy został beneficjentem programu Narodowego Centrum Kultury EtnoPolska, uzyskując dofinansowanie, dzięki czemu Zespół Pieśni i Tańca Hyżniacy doposażył swoją garderobę, uzupełniając ją o nowe stroje, a także dokonał renowacji już posiadanych. Program EtnoPolska umożliwia bowiem wsparcie zadań, których celem jest uzupełnienie i renowacja strojów ludowych oraz rekwizytów obrzędowych dla zespołów regionalnych prezentujących tradycje muzyczne, taneczne i śpiewacze oraz folklor obrzędowy własnego regionu.

Zespół Pieśni i Tańca Hyżniacy powstał w listopadzie 1973 r. i działa przy Gminnym Ośrodku Kultury w Hyżnem, a jego misją jest pielęgnowanie i kultywowanie tradycji, wzbogacanie wiedzy o regionalnym folklorze i kultu-



rze, odzwierciedlenie pieśni, obrzędów, tańców ludowych, które były wykonywane przez minione pokolenia. Trudna do zliczenia jest liczba występów, koncertów i wyjazdów zespołu, podczas których piękno muzyki i tańca regionu rzeszowskiego wzbudzało zachwyt i podziw.

Hyżniacy aktywnie uczestniczą również w życiu swojej lokalnej społeczności, uświetniając

występami wiele gminnych uroczystości. Często są uczestnikami przeglądów zespołów ludowych oraz gośćmi na imprezach okolicznościowych organizowanych przez miasta i gminy z całej Polski.

Na fantastyczny efekt ich występów składa się żywiołowa muzyka, regionalne stroje oraz kunszt tancerzy, a o wysokim poziomie artystycznym zespołu świadczą liczne trofea i pamiątki, a wśród nich przedmioty rękodzieła ludowego, medale, statuetki, puchary i dyplomy.

Dzięki otrzymanym środkom z Narodowego Centrum Kultury w ramach programu EtnoPolska 2020, zespół pozyskał nowe stroje ludowe oraz wzbogacił swój repertuar o nowy taniec regionalny, co w konsekwencji przełoży się w szersze działania i aktywność na rzecz kultywowania tradycji, obrzędowości i tradycyjnych tańców ludowych Rzeszowszczyzny.

■ Anna LORENZ-FILIP, dyrektor GOK w Hyżnem

W POGONI ZA MARZENIAMI

Dyskusyjny Klub Filmowy „Kłaps” działający w Wojewódzkim Domu Kultury w Rzeszowie zaprasza na listopadowe projekcje połączone z prelekcjami i pofilmowymi dyskusjami. Pokazy są w poniedziałki o godz. 19.00 przy ul. Okrzei 7. Karnety miesięczne na cztery filmy w cenie 35 zł, a wejściówki pojedyncze na każdy film po 10 zł.

2 listopada – Tony Halik, reż. Marcin Borchart. Dokument produkcji polskiej (2020). Film o podróżniczej pasji i pogoni za marzeniami, ale i o kosztach, jakie trzeba zapłacić, aby mogły się ziszczyć.

9 listopada – Gniazdo, reż. Sean Durkin. Dramat, thriller produkcji kanadyjsko-brytyjskiej (2020). Jude Law i Carrie Coon w filmie o małżeń-

stwie, którego pozornie idealne życie zamienia się w spiralę sekretów i kłamstw. Wizualne arcydzieło, od którego nie można oderwać oczu (opinia „The Playlist”).

16 listopada – Tylko zwierzęta nie błądzą, reż. Dominik Moll. Kryminał produkcji francusko-niemieckiej (2020). Trzymająca w napięciu i pełna zwrotów akcji kryminalno-miłosna układanka. Zagadkowe zniknięcie kobiety podczas burzy śnieżnej sprawi, że pięcioro nieznanymi zostanie uwikłanych w tajemni-



cę, która wykracza daleko poza senne górskie miasteczko gdzieś we Francji.

23 listopada – Bądź sobą, czyli nieopowiedziana historia Alice Guy-Blaché, reż. Pamela B. Green. Dokument produkcji amerykańskiej (2020). Trzymający w napięciu dokument o kobiecie, która na zawsze zmieniła historię filmu światowego. Bohaterką tej opowieści jest Alice Guy-Blaché – pionierka kinematografii, uznawana za pierwszą reżyserkę w historii X Muzy.

30 listopada – Ojciec, reż. Kristina Grozeva, Petar Valchanov. Film produkcji bułgarsko-greckiej, o którym Stephen Dalton napisał w „The Hollywood Reporter”, że jest to słodko-gorzka farsa rodzinna rozgrywająca się w miejscu, gdzie ludzie wciąż bardziej ufają magicznemu folklorowi niż krzywdzącej biurokracji państwowej.



■ Andrzej OSIŃSKI

TRZYDZIESTE URODZINY TELEWIZJI

Refleksje i wspomnienia jubileuszowe

Jerzy Dynia

Piątek, 19 października 1990 roku, godziny popołudniowe. Miejsce akcji: pomieszczenia pod okazałą, z daleka widoczną wieżą telewizyjną przy ul. W. Broniewskiego w Rzeszowie. Historyczna chwila, bo o godzinie 18.00 ma wystartować pierwszy samodzielny program młodego Ośrodka Telewizji Polskiej w Rzeszowie, powołanego do życia na mocy de-



cyzji z lipca 1990 r. prezesa Komitetu ds. Radia i Telewizji Andrzeja Drawicza. Ale nie staruje o wyznaczonej godzinie. I nie ma w tym winy – jak napisała w wydaniu „Nowin” z 20 października 2000 r. Anna Koniecka – ani kierującego placówką Bogusława Lasoty, ani młodego Janusza Wolcza, ani repa, eksradiowca Jerzego Dyni (mającego za sobą współpracę z TV Katowice), którzy pracowali nad pierwszym wydaniem programu. Wszystko za sprawą przedłużającej się w programie centralnym TVP transmisji z finału Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego.

W studiu przy stanowisku emisyjnym jest tylko dwóch ludzi: technik Roman Urbańczyk, który w odpowiednim momencie ma nacisnąć stosowny klawisz na konsoli i wystartować nagrany na kasecie program, oraz dyżurujący redaktor Jerzy Dynia. Natomiast grono skromnej załogi, zaproszeni goście, w tym oczywiście kochające telewizję władze, czekają na otwarcie szampanów w studiu, tyle że w Rozgłośni Polskiego Radia przy ul. Zamkowej, bo tam można było ich pomieścić. I to jest w porządku, bo po uniezależnieniu się od TV Kraków rzeszowski ośrodek jest częścią rzeszowskiej Rozgłośni PR, kierowaną w całości przez Jana Drausa. Premierowy, trwający pół godziny „Magazyn Rzeszowski” składa się z trzech części. Pierwsza, zatytułowana „Tydzień”, to przegląd najważniejszych wydarzeń w regionie. Mowa w nim m.in. o nowym spychaczu TD-12C wyprodukowanym niedawno w Hucie Stalowa Wola, o problemie ziemniaczanym w okolicach Radymna, o niewykorzystanych w Rzeszowie źródłach gazu. Na drugą część programu pn. „Obiekty” składają się materiały publicystyczne rozszerzone, traktujące m.in. o prywatyzacji Krośnieńskich Hut Szkła i kłopotach z Polamem produkującym nieekologiczne neonowe świetlówki, a także o przygotowaniach do wizyty w Rzeszowie Jana Pawła II. Odcinek trzeci, mający charakter rozrywkowy, nosi tytuł „Nius”. Początkowo, „na rozruch” programy emitowane są w piątki. Później dochodzi wto-

rek i tak do całego tygodnia, w miarę zdobywania doświadczenia i powiększania zespołu dziennikarskiego, do którego kolejno dochodzą Jerzy Oleszkowicz, Jolanta Zaręba, później Andrzej Potocki, Piotr Socha. Czasu antenowego przybywało, ale zespół dziennikarski ciągle był niewielki. To stało się impulsem do kolejnej gazetowej informacji autorstwa Piotra Wróbla, jaka ukazała się w miejscowym dzienniku pod tytułem *Batem po tygodniu*.

„Doniesiono mi – a zrobił to człowiek, który odważył się obejrzeć TV Rzeszów – że jeden z programów TV-Rz był wyjątkowo interesujący, ponieważ autorami byli: Dynia, Dynia, Dynia, Dynia, Boratyn. Dlaczego cały ten interes nazywają Telewizja Rzeszów, tego nie wiem. Powinno być Teledynia Rzeszów”.

BYŁEM PRZY TYM

Tak brzmi tytuł wspomnieniowej książki rzeszowskiego dziennikarza Juliana Woźniaka. Wiele się można z niej dowiedzieć. Telewizyjne szaleństwo rozpoczęło się w Polsce na początku lat 50. Na początku czarno-białe programy telewizyjne oglądali mieszkańcy Warszawy i Śląska. Aby mogli oglądać telewizję mieszkańcy południowo-wschodniej części kraju, niezbędne było wybudowanie na terenie ówczesnego województwa rzeszowskiego odpowiedniego przekaźnika. Znalazł się w Rzeszowie człowiek, dla którego nie było przeszkód w załatwieniu czegokolwiek. Był nim niezwyklej energii i wielu zainteresowań radiowy i prasowy dziennikarz Julian Woźniak. Z racji nieprzeciętnej osobowości szybko zjednywał sobie ludzi. Ułatwiał mu to załatwianie spraw z pozoru niemożliwych. Temat telewizja całkowicie nim zawładnął. Impulsu dodała wieść, że mieszkańiec Rzeszowa Józef Wiącek skonstruował od-

biornik telewizyjny i odbiera zagraniczne programy.

Nie bez biurokratycznych oporów w sierpniu 1958 roku powstał Społeczny Komitet Budowy Stacji Telewizyjnej na Suchoj Górze nieopodal Krosna. Już w cztery lata później nadajnik ten rozpoczął emisję programu I Telewizji Polskiej. A w 1972 roku rozpoczęto w Rzeszowie budowę obiektu z wieżą telewizyjną podobną do tej w Krakowie, a przy okazji małego studia, z którego w przyszłości będzie można emitować własne programy. Julian Woźniak potrafił przekonać kierownictwo Ośrodka TVP w Krakowie do tego, żeby w programie znalazła się w styczniu 1972 roku, emitowana na razie z Krakowa, „Panorama Rzeszowska”. On też rozkręcał sprawę realizowania materiałów informacyjnych dla OTV w Krakowie i dla telewizji centralnej w Warszawie. Wcześniej robił to korespondent, „robot wieloczynnościowy” Damazy Kwiatkowski, oficjalny przedstawiciel Centralnej Agencji Fotograficznej, który przyjechał do Rzeszowa nie tylko z aparatem fotograficznym, ale też z kamerą filmową. Do Juliana Woźniaka dołączyli dziennikarze Anna Karwańska, Jan Grygiel, Antoni Adamski, Włodzimierz Wał, Andrzej Oczóś, Marcin Kowalski. Do Rzeszowa przeniósł się z Krakowa operator kamery Tadeusz Metz, którego asystentem został Lucjan Góźdź, student Wyższej Szkoły Inżynierskiej, protoplastki Politechniki Rzeszowskiej.

W 1973 roku z przekaźnika na Baranówce rozpoczęła się emisja programu II TVP i – co niezwykle ważne – przy Rozgłośni Polskiego Radia w Rzeszowie została powołana redakcja telewizyjna, której szefem został nie kto inny, ale właśnie Julian Woźniak. Już na stałe raz w miesiącu ze studia w Krakowie emitowana była „Panorama Rzeszowska”. Kiedy wiosną 1981 roku do Rzeszowa skierowany został transmisyjny wóz do przekazywania czarno-białego programu, można było rozpocząć emisję własnych programów całkowicie przygotowanych w Rzeszowie. Stało się to 1 kwietnia 1981 roku.

Po odejściu Juliana Woźniaka na emeryturę, a było to w stanie wojennym, szefem został Jerzy Dubiel, dziennikarz rzeszowskiego radia, którego po ośmiu latach zastąpił Adam Kruk. Jeśli ktoś liczy na to, że w telewizji będzie miał spokojną pracę, to się mocno myli. Tutaj nie bierze się o 15.00 kapoty i zostawia robotę. Zaczyna się rano, a kończy po wyemitowaniu ostatniego w danym dniu programu. Dochodzą do tego wprowadzane co jakiś czas przez Warszawę zmiany koncepcji charakteru działalności regionalnych ośrodków TVP. No i przeżywa się co jakiś czas głoszone propozycje zlikwidowania terenowych ośrodków i zastąpienie ich korespondentami.



Zespół Telewizji Rzeszów z czasów funkcjonowania w obiektach na Baranówce

Fot. z archiwum Jerzego Dyni

SAMODZIELNOŚĆ?

Po roku od pamiętnej daty 19 października 1990 roku samodzielnym szefem rzeszowskiego ośrodka TVP został były radiowiec Bogusław Lasota. Poszerzał się program, poszerzała się tematyka prezentowanych programów. Już była nie tylko informacja, ale publicystyka, nie tylko ekonomiczna, ale też kulturalna. Ciągle z niewielkim zespołem. W piątą rocznicę od premierowego programu szef podziękował 18 października 1995 r. tym, którzy wspólnie trwali. W piśmie skierowanym do pracowników i współpracowników wymienił: Krystynę Frączek – sekretarkę, Barbarę Pańczyszyn – sprzątającą, dziennikarza Jerzego Dynię, operatorów kamer Lucjana Góździa i Zbigniewa Słowika, technika Romana Urbańczyka, a także osoby z obsługi, Wiesława Bieniasza oraz Jana Stopyrę. Rozwijał się ośrodek, rozwijał się program.

W lokalnym dodatku „Gazety Wyborczej” ukazała się informacja Marka Szenborna zatytułowana *Wpuszczeni w 40. kanał*. Chodziło o to, że 5 stycznia 1995 roku rozpoczęło się nadawanie trwającego 9 godzin dziennie programu nazywanego „Miejskim”, a emitowanego na kanale 40. Dziennikarz tak opisywał atmosferę tego dnia w ośrodku na Baranówce: „Redaktor wydania, Jurek Dynia, udaje, że nie jest spięty. Biega po korytarzach rzeszowskiego ośrodka telewizyjnego i od niechcenia pogwizduje. Wtajemniczeni wiedzą jednak, że nerwy spięte ma jak postronki. Z dawna zapowiadany miejski program telewizyjny rzeszowski ruszył 5 stycznia punktualnie o godzinie 15.00”.

Z okazji kolejnej premiery odbyła się wielka gala, tym razem transmitowana – jakże – z sali balowej łańcuckiego zamku. Skomentował to na łamach „Nowin” Adam Warzocha:

„Telewizja Rzeszów zdała relację z uroczystości rozpoczęcia nadawania programu miejskiego. Powód zebrania się w pałacu łańcuckim był, wydaje się, radosny, wszelako na ekranach pokazano uroczystość tak poważną, jakby w pałacu zebrali się Potoccy z Czartoryskimi na wieczornicy z okazji rocznicy ogłoszenia dekretu o reformie rolnej. [...] Z przemówień zapamiętałem, iż wojewoda rzeszowski Kazimierz Surowiec prosił Telewizję Rzeszów, by szanowała wartości. Wojewoda nie sprecyzował, o jakie wartości chodzi – czy o wartości PSL i partii sojuszniczych, czy inne. Ale to nie jest problem telewizyjny, lecz dyr. Lasoty”.

No właśnie, jaka ma być telewizja: obywatelska czy partyjna? Temat rzeka. W różnych latach, na łamach gazet krzyczały tytuły *Tajemnice szklanego ekranu*, *TVPubliczna czy TVPartyjna*, *Chaos w telewizji*, *Czystki na Woronicza*, *Kres telewizji państwowej*, *Kutz: Niech TVP zdechnie*, *Czystka w TVP*. *Kolejni do zwolnienia już są wytypowani*, *120 osób odchodzi z kierowniczych funkcji w TVP*, *Telewizja, za przeproszeniem publiczna* i na „dobicie: *Kto przejmie kontrolę nad telewizją regionalną*”. „Chcę mieć taką tubę” – skomentował to ówczesny marszałek podkarpacki Zygmunt Cholewiński. Przez całe lata panuje huśtawka nastrojów wynikająca z niepewności losów regionalnych ośrodków, bo w warszawskich gabinetach ciągle wracał temat ich przyszłości. W takim herydymie informacyjnym skupienie się na merytorycznej robocie dziennikarskiej nie przychodzi łatwo.

W ciągu pierwszej samodzielnej działalności, oczywiście pod „parasolem” Warszawa, rzeszowski ośrodek rozwijał się pod względem sprzętu. Kadrowo rozwijał się od pierwszej dziesiątki do setki załogi. Przybywa-

ło ludzi, ale i ubywało. Podobnie było z czasem antenowym, który ciągle był szatkowany i rzucany po różnych porach dnia. W tzw. międzyczasie przy ulicy mjr. Kopisto wybudowany został nowy obiekt na potrzeby ośrodka – z dużym studiem, trzema stanowiskami montażowymi, pokojami dla dziennikarzy, administracji i programowym archiwum. No i znalazł się nowoczesny wielokanałowy wóz transmisyjny. Uroczyste otwarcie nastąpiło 13 (znów) października 2001 roku o godzinie 14.00.

1 czerwca 2003 kierowanie Telewizją Rzeszów przejął Adam Czartoryski. W pierwszym prasowym wywiadzie zapowiedział, że będzie wymagał od pracowników PRL, czyli: perfekcjonizmu, regionalizmu i lojalności. Na przestrzeni mijających lat zmieniała się kadra dziennikarska, jako że ten zawód nie należy do najłatwiejszych. Dziennikarz prasowy musi umieć dobrze pisać, dziennikarz radiowy powinien dobrze pisać i mówić – mieć dobrą dykcję, zaś dziennikarz telewizyjny oprócz tych cech powinien jeszcze dobrze wyglądać! Nowy szef oświadczył, że zależy mu na normalności.

Wichry na górze, czyli w Warszawie, docierały również do Rzeszowa. Kolejnymi dyrektorami byli Włodzimierz Rudolf, Jerzy Oleszkowicz, Jacek Szarek i nie tylko. Dziś ośrodkiem kieruje dyrektor-redaktor naczelny Józef Matusz. Załoga to konglomerat doświadczenia z młodością. Trzydzieści lat minęło. A jaka jest dzisiejsza Telewizja Rzeszów, każdy widzi. Wystarczy usiąść wygodnie w domowym fotelu, wziąć do ręki pilota i nacisnąć odpowiedni przycisk.

■ Jerzy DYNIA,
emerytowany starszy redaktor OTV w Rzeszowie

STOI NA STACJI LOKOMOTYWKA...

W dobie pendolino relikw przeszłości



Andrzej Grzywacz

Nieopodal odnowionego dworca i stacji głównej PKP w Rzeszowie stoi na bocznicach wysłużony parowóz serii TKt48. Tak zwany tendrzak – krótki, bez wózka węglarki, łatwy do manewrowania na krętych torach. W dobie elektryfikacji linii i pendolino taki wehikuł to pamiątka dawnej świetności kolei kojarzonej z porządkiem i punktualnością.

Czy teraz takie parowozy czeka tylko samozniszczenie? A może potrafią się jeszcze na coś przydać? Nowoczesne elektro- i motowozy na prąd i olej napędowy w razie braku energii czy paliwa stają i są nieużyteczne. A do uruchomienia parowozu TKt48 wystarczy trochę wody i opału z drewna! To tak trochę żartobliwie...

Patrząc na ten parowozik, przychodzą mi na myśl z lat dziecięcych strofy wiersza Tuwima „Stoi na stacji lokomotywa...” Ta rzeszowska już nie bucha parą i nie ocieka tłustą oliwą. Dzieli smutny los wielu podobnych w Polsce...



Fot. Roman Lach

Lokomotywa TKt48 na bocznicach w Rzeszowie przy ul. Batorego. Parowozy tej serii powstawały w latach 1950–1957 w zakładach HCP Poznań i FabLok Chrzanów dla obsługi ruchu podmiejskiego i towarowego. Masa pustego parowozu wynosiła 78 000 kg, prędkość maksymalna 80 km/godz., długość 14 200 mm, wysokość 4532 mm, szerokość 3100 mm, moc znamionowa 1060 KM

Czy jednak los akurat dla tej nie mógłby okazać się łaskawszy? Może znalazłaby godne schronienie i miejsce ekspozycji w Muzeum Techniki i Militariów w obiekcie dawnego Zespołu Szkół Kolejowych w Rzeszowie? Zaled-

wie po drugiej stronie odnowionego dworca Rzeszów Główny.

■ Andrzej GRZYWACZ

MIASTO ZABYTEKÓW I OPERY

Śladami Carmen, Don Juana, Kolumba i Maurów



Wit Hadło

Sewilla to jedno z najbardziej uroczych hiszpańskich miast. Są tutaj piękne zabytki i nastrojowe parki. Można spacerować po miejscach związanych z odkrywcą Ameryki Krzysztofem Kolumbem i rządzącymi niegdyś regionem muzułmańskimi Maurami. Można też zatracić się, poszukując śladów bohaterów fikcyjnych – uwodzicielskiego Don Juana czy pięknej Carmen. To w Sewilli rozgrywa się aż pięć słynnych oper: *Wesele Figara*, *Cyrulik sewilski*, *Fidelio*, *Don Giovanni* (czyli *Don Juan*) i właśnie *Carmen*.

GDZIE PRACOWAŁA CARMEN

Królewska Fabryka Cygar była pierwszą dużą fabryką europejską, w której produkowano wyroby tytoniowe. Budynek jej miał wy-



W Santa Cruz można poszukać śladów Don Juana

zachowała unikatowy średniowieczny układ i wygląda jak prawdziwa perełka z labiryntem wąskich uliczek, w których łatwo można się zgubić, klimatycznymi placzkami, lokalnymi knajpkami i budynkami w stylu arabskim z wewnętrznymi dziedzińcami. Zabudowania istniały tu już w czasach rzymskich, następnie mieszkali tam Maurowie, a po ich przegonieniu władcy hiszpańscy zezwolili na osiedlanie się w niej Żydom.

W 1492 r. rozkazem królewskim wszyscy Żydzi zostali wygnani z Hiszpanii, synagogi zmieniono na kościoły, a domy przebudowano.

Podczas wojen napoleońskich zniszczony został kościół Świętego Krzyża, w miejscu którego powstał plac, a cała dzielnica uzyskała nazwę Santa Cruz. Według legendy urodził się tu słynny uwodziciel Don Juan, lecz do dziś nie zlokalizowano precyzyjnie domu, w którym to nastąpiło. Na pewno nie ułatwia tego fakt, że w odróżnieniu od Casanovy był tylko bohaterem fikcyjnym, choć podobno jego postać była wzorowana na żyjącym w XVI wieku w Sewilli słynącym z urody szlachcicu Don Juanie Tenorio.

PAŁAC KRÓLEWSKI ALKAZAR

Jego budowę rozpoczęto w XI wieku, gdy miasto znajdowało się jeszcze we władaniu muzułmańskich Maurów. Rezydowali w nim przedstawiciele kalifatu kordobańskiego. Gdy

w 1248 r. władcy chrześcijańscy odbili miasto, zachwyceni budowlą przeznaczili ją na własną siedzibę. Za czasów Piotra I Okrutnego w latach 1350–1369 pałac został rozbudowany w stylu mudejar, nawiązującym do mauretańskiego. Następni królowie kontynuowali rozbudowę siedziby, dostosowując ją do własnych potrzeb, zwiększając liczbę sal, patios i ogrodów oraz dekorując ściany przepięknymi ornamentami z płytek ceramicznych azulejos, czyniąc z Alkazaru najwspanialszy kompleks pałacowy w Hiszpanii.

Podejmowano w nim wiele ważnych decyzji dotyczących kraju, Europy i świata oraz przyjmowano wiele ważnych wizyt.

W marcu 1493 r. został tu przyjęty na audiencji przez królów katolickich, Izabelę Kastylijską i Ferdynanda Aragońskiego, sam Krzysztof Kolumb po powrocie ze swojej pierwszej wyprawy, podczas której odkrył Amerykę. Na tyłach Alkazaru znajdują się przepiękne ogrody, które powstały w czasach, gdy miastem jeszcze rządzą Arabowie. Miały służyć zarówno miłemu spędzaniu czasu w cieniu roślinności przy szemrzących strumyczkach, jak i dla pozyskania pożywienia, bowiem sadzono w nich dużo owoców i warzyw.

W czasach władców chrześcijańskich postawiono na rekreację i zmieniono ich układ w coś na kształt szachownicy. Podczas spaceru często można natrafić na oczka wodne, grotty, dekoracje z płytek azulejos i przechadzające się pawie. W centralnym punkcie ogrodów jest pawilon Carlosa V, miejsce wytchnienia i kontemplacji ozdobione w środku malowidłami. Dzieląca ogrody na pół loggia z XVI wieku w czasach arabskich była murem oddzielającym pałac od miasta. Dziś na ich 100 tys. m kw. żyje około 20 tys. roślin reprezentujących 200 gatunków, tworząc zielone płuca Sewilli. Wieczorami często organizowane są tam koncerty flamenco i zespołów kameralnych grających muzykę klasyczną.



Alkazar, wcześniej rezydowali w nim arabscy kalifowie, a później hiszpańscy królowie



Królewska Fabryka Cygar, gdzie pracowała Carmen

miary 185 na 147 m i do dziś jest drugim co do wielkości obiektem w Hiszpanii po kompleksie Eskurial pod Madrytem. W okresie największego rozwoju posiadała własną policję, sąd, więzienie i stajnie na 400 koni. Zatrudniała tysiące kobiet, które z tytoniowych liści skręcały cygara. Najbardziej słynną pracownicą (choć fikcyjną) była cyganka Carmen, bohaterka noweli Prospera Mérimée, a później słynnej opery pod tym samym tytułem autorstwa Georges'a Bizeta. W samej fabryce zaś rozgrywa się I akt opery. Od połowy XX wieku mieści się tu rektorat oraz kilka wydziałów Uniwersytetu w Sewilli. Nad głównym wejściem umieszczono wizerunek bogini Famy, dmącej w trąbę kobiety z orlimi skrzydłami. Według legendy wydaje ona dźwięk, gdy przez bramę przechodzi dziewczyna, ale już od czasów Carmen nie usłyszano, by kiedykolwiek zatęchła.

TU URODZIŁ SIĘ DON JUAN

Dzielnica Santa Cruz, czyli Świętego Krzyża, to dziś jeden z najbardziej turystycznych obszarów w Sewilli. W jej wschodniej części, wzdłuż dawnych murów miejskich znajdowała się kiedyś Juderia – dzielnica żydowska. Do dziś

KATEDRA I GRÓB KOLUMBA

Chyba najcenniejszym zabytkiem Sewilli jest jeden z największych i najwspanialszych kościołów gotyckich na świecie – katedra Naj-



Grób Krzysztofa Kolumba w sewilskiej katedrze

świętszej Marii Panny, zbudowana w miejscu, gdzie wcześniej stał meczet Almohadów. 8 lipca 1401 roku podjęto decyzję o jej wzniesieniu na miejscu świątyni muzułmańskiej, z której zachowano tylko wieżę minaretu zamienioną na dzwonnice zwaną Giralda oraz Patio Pomarańczy – dziedziniec z drzewkami tych owoców. W 1506 r. ukończono budowę, lecz pięć lat później zawaliła się główna kopuła kościoła, którą odbudowano w 1515 r. W katedrze znajduje się największy w Hiszpanii ołtarz o wysokości 27,8 m i szerokości 18,2 m, w którym znajduje się 45 grup drewnianych, pokrytych złotem figur przedstawiających sceny z życia Marii i Jezusa oraz biblijnej historii stworzenia świata, a także kaplica królewska zbudowana podczas panowania Karola V, poświęcona zdobywcy Sewilli, królowi Kastylii Ferdynandowi III Świętemu, w której w srebrnym relikwiarzu złożone są jego szczątki.

Wewnątrz świątyni znajduje się także monumentalny grób odkrywcy Ameryki, Krzysztofa Kolumba, który powstał pod koniec XIX wieku. Jest to zarazem pomnik, który tłumnie odwiedzają turyści. Jest on bardzo nietypowy, ponieważ trumna z jego szczątkami nie znajduje się pod posadzką, lecz nad jej powierzchnią. Dźwigają ją cztery postacie symbolizujące cztery hiszpańskie królestwa: Kastylii, Aragonii, Nawarry i Leonu, które istniały w czasie jego pionierskiej ekspedycji przez Atlantyk. Przez lata trwały spekulacje, gdzie naprawdę spoczywa ciało Krzysztofa Kolumba, ponieważ po śmierci w 1506 r. tułało się ono przez 13 lat. Pierwotnie był pochowany w Valladolid w Hiszpanii, stamtąd przetransportowano go do Hawany na Kubie, potem do Santo Domingo na Haiti, gdzie według testamentu sam chciał spocząć. Lecz po jakimś czasie pochowano go w Sewilli. W 2006 r. przeprowadzono badania DNA kości z grobu w Sewilli, które potwierdziły pokrewieństwo z pochowanymi w tym mieście bratem Diego i synem Fernandem, a więc możemy przyjąć, że spoczywa w nim na pewno Krzysztof Kolumb.

DWIE WIEŻE

Turyści odwiedzający Sewillę często kierują wzrok w stronę dwóch wież. Jedną z nich jest Giralda, wysmukła dzwonnica katedry, pozostałość po stojącym w tym miejscu muzułmańskim meczecie. Budowę wieży spełniającej wtedy funkcję minaretu rozpoczęto w 1184 r. i kontynuowano przez 12 lat, wykorzystując elementy z rozbieranych budowli rzymskich. W jej wnętrzu nie ma schodów (co jest bardzo dużym ułatwieniem dla dzisiejszych zwiedzających), tylko szeroka pochylnia, po której muezin wjeżdżał konno, by z jej szczytu wygłosić wezwanie na modlitwę.

Gdy w 1248 r. król Ferdynand III Święty zdobył Sewillę, zniszczył meczet, lecz samej wieży nie ruszył, zmieniając tylko jej przeznaczenie, i od tamtego czasu bicie dzwonów z jej szczytu wzywa wiernych na mszę świętą. Sama nazwa Giralda znaczy wiatrowskaz, bo na jej szczycie umieszczona jest figurka, która obraca się pod wpływem wiejącego wiatru i pokazuje jego kierunek. Dwie bardzo podobne wieże, zbudowane przez tego samego architekta Jabira, znajdują się w Maroku.

Drugą słynną wieżą jest Torre del Oro (czyli Złota Wieża), budowla o dwunastu kątach u dołu i sześciu u góry. Powstała ona w XIII wieku i była jedną z 166 podobnych konstrukcji w systemie obronnym Maurów, którzy wtedy rządili Sewillą. Gdy miasto przejęli Hiszpanie, stało się ono głównym portem, do którego wpływały galiony wypełnione złotem złupionym w Ameryce Południowej i Środkowej. Wtedy to wieża uzyskała nazwę „Złota”, bo przechowywano w niej ten kruszec, choć istnieje też teoria, że nazwa ta



Złota Wieża – przechowywano w niej skarby zrabowane w Ameryce



Wieża Giralda – dawny minaret

pochodzi od okładziny ze złotych płytek azulejos. Cały czas również pełniła funkcje obronne, bo między nią a bliźniaczą już nieistniejącą wieżą po drugiej stronie rzeki Gwadalkiwir rozpinano łańcuch blokujący agresorom wpłynięcie do portu.

TRIANA – DZIELNICA FLAMENCO

Po drugiej strony rzeki Gwadalkiwir leży przepiękna dzielnica – Triana. Dziś najlepiej dostać się do niej można pięknym łukowym mostem Izabelli II, zwanym także Mostem Triany. W dzielnicy tej zamieszkiwały w także znane chrześcijańskie męczennice – św. Justyna i św. Rufina. Od 1491 r. mieścił się tam również Castillo de San Jorge, czyli Zamek św. Jerzego, przez wieki najbardziej przeklinane i budzące grozę miejsce w Hiszpanii, siedziba chyba najbardziej ponurej instytucji kościelnej – Świętej Inkwizycji, gdzie torturami wymuszano przyznanie się do takich groźnych przestępstw, jak uprawianie czarów, wiara w innego Boga, czy niejedzenie świńskiego mięsa (główne kryterium stosowane przez Inkwizycję, by rozpoznać Żyda). Oczywiście za wszystkie tego typu przestępstwa kara mogła być tylko jedna – spalenie na stosie. Po ponad 300 latach zamęczenia niewiernych i bluźnierców trybunał przeniesiono, ponieważ budynki były już w fatalnym stanie.

W 1820 r. władze miejskie rozebrały twierdzę, a dwa lata później na jej miejscu utworzyły targowisko. Dziś w jego podziemiach, które zachowały jeszcze pierwotny wygląd, znajduje się Muzeum Inkwizycji.

Nie są to jednak wszystkie atrakcje tego miasta, bowiem Sewilla oferuje odwiedzającym ją turystom jeszcze mnóstwo innych, równie ciekawych miejsc, które najlepiej odkrywać samemu, wolno spacerując po starszych i młodszych dzielnicach i rozkoszując podniebienie lokalnymi przysmakami oferowanymi w setkach barów tapas, winiarniach i restauracjach.

■ Wit HADŁO
zdjęcia autora

NASZYM DOMEM RZESZÓW

Twórczość architektoniczna jest bardzo ważna



Edward Słupek

Jubileusz 15-lecia powstania miesięcznika w czasie, gdy szaleje zaraza koronawirusa, minorowo nastraja. Boimy się o swoje zdrowie i bliskich. Staliśmy się mniej zarozumiali, gdzieś pychy jakby mniej. Nie uczyniliśmy ziemi sobie poddanej. A już nam się wydawało! Eksploracja kosmosu, zdobycze nauki. A tu taki wirus zahamował, odmienił w postrzeganiu i działaniu cały świat.

Patrząc ze swej strony, Spółdzielni Zodiak, nasze 15 lat to powstanie nowego osiedla Staromieście Ogrody. Budowa w nowej Polsce 2000 mieszkań. Poprzednio wybudowane osiedle to Pobitno Południe, gdzie ceny mieszkań osiągnęły najwyższe ceny. Geneza Staromieścia Ogrody to uchwalenie w 2000 r. przez samorząd miasta planu zagospodarowania przestrzennego dla osiedla zlokalizowanego na 49 hektarach (trochę więcej niż Watykan, który ma 44 ha). Animatorami planu byli ówcześni prezydenci Rzeszowa dr Andrzej Szlachta i jego zastępca Wiesław Walat.

Przywołując fakty, chciałbym zobrazować, że najważniejszą sprawą dla życia i rozwoju miasta jest odpowiednia polityka planistyczna. Po prostu nie zawsze tworzący plany realizują je w przyszłości. Tutaj kłania się profesjonalizm i rozważa, a nie koniunkturalizm podejmowania decyzji w stylu Bari, gdzie zarozumiały decydent jest w stanie nawet przesunąć jezioro. Mając do dyspozycji uchwalony plan, jako inwestor musimy precyzyjnie realizować jego zapisy. Tak też czyniliśmy, z jednym wyjątkiem. Prezy-

dent miasta doprowadził do sprzedaży kwartału terenu deweloperowi z jednoczesną zmianą planu zezwalającą na podwyższoną zabudowę jedynie deweloperowi. Komentarz do tego jest taki, że naruszanie zasad jest barbarzyństwem i zarozumiałstwem społecznym.

Mając uchwalony plan, zleciliśmy zaprojektowanie poszczególnych obiektów inż. arch. Mieczysławowi Gale, nota bene pan Mieczysław konsultował powstanie planu zagospodarowania. Tutaj wspomina, że pan Mieczysław



Fot. Grzegorz Paćzek

Staromieście Ogrody – na osiedlu Spółdzielni Zodiak

uznał, iż ma powstać intymne, wygodne osiedle o niskiej zabudowie. Oburzał się na zagęszczenie zabudowy. Pamiętam, jak mówił, że przez minimum sto lat, gdy dotrzemy do zasad i standardów, nikt nie będzie na nas narzekał. Irytował się na królującą zasadę PUM (powierzchnia użytkowo-mieszkalna), czyli napakowania na małej powierzchni zabudowy jak największej powierzchni mieszkalnej. Takie działanie to czysta komercja. Z dużym uporem i elegancją nie pozwolił zepsuć zabudowy Pobitna Połu-

dnie, chociaż tam nie byliśmy związani planem zagospodarowania. Już sobie wyobrażam, że taki teren dostaje się w ręce dewelopera. Od razu projekt w stylu Trzeciego Świata, czyli napakowanie niewyobrażalnej liczby mieszkań na małym terenie. Nie chcę wymieniać przykładów w naszym mieście, ale wiadomo, o jakie antyprzykłady chodzi. Pamiętam, jak pan Mieczysław na moją sugestię dotyczącą kolorystyki obiektów mieszkalnych spojrzął na mnie znacząco i zapytał: architektura czy malarstwo. Niestety, twórca architektury Rzeszowa zmarł niedawno.

Nasz miesięcznik prezentuje różne rodzaje twórczości. Twórczość architektoniczna jest bardzo ważna, gdyż powstałe obiekty mogą przez lata stanowić zakałę dla miasta. Nasze Staromieście graniczy z dumną gminą Trzebownisko. Gdy rozpoczynaliśmy budowę Staromieścia, miasto w dyktatorski sposób oznajmiało przyłączenie gminy Trzebownisko do Rzeszowa. Nic z tego nie wyszło przez cyniczne zachowanie władz miasta. Pycha władz oburzyła dumnych działaczy Trzebowniska. Był nawet czas, że my zapragnęliśmy przyłączenia Staromieścia do Trzebowniska, ale to taki performans. Godzi się również skomentować przyłączenie małych wiosek do Rzeszowa. Przyłączenie kilkudziesięciu domów, a larum o wielkim sukcesie. Wszystko powinno być poprzedzone odpowiednim procesem planistycznym. Aby udobruchać Trzebownisko i je przyłączyć, trzeba pokazać perspektywę na wiele dekad. Na pewno nie stanie się to w stylu obecnej władzy. Nad tym wszystkim rozpościera się polityka po rzeszowsku. Pytają mnie w Polsce, jaka opcja rządzi w Rzeszowie? Powiadam, że skrajna prawica na czele z prezydentem, który z lewicowych radnych uczynił nic nieznaczących przytakiwaczy. Hipokryzja po rzeszowsku.

■ Edward SŁUPEK

MASECZKOWA RULETKA

Filozofów nam przybywa



Kamil Łuka

W ostatnich tygodniach wśród obywateli zaobserwować możemy nasilające się nurty wierzeń niekoniecznie religijnych. Była już wiara w zamach, pora więc, by z tematu czysto naukowo-medycznego, w którym wszystko, co najważniejsze zostało powiedziane, uczynić niekończącą się arenę złotych myśli naszprycowanych mało merytorycznymi argumentami.

Po pierwsze, wszyscy zgodzić się możemy, że chodzenie w maseczkach nie należy do rzeczy najprzyjemniejszych. Pomijając oczywistą kwestię dyskomfortu, wyjątkowo odczuwają to osoby noszące okulary korekcyjne nieustannie parujące na twarzach. Po drugie, maseczka, którą nosimy, w jakimś stopniu uchronić może inne osoby w przypadku, gdy to my możemy

stać się nieświadomymi roznośicielami wirusa, którego złapać można potencjalnie wszędzie. W przypadku chorób wszyscy bagatelizujemy sprawy, dopóki konkretna kwestia nie dotknie nas osobiście. Podświadomie wypieramy zagrożenie, bo oczywistym jest, że każdy z nas chce żyć w pełnym zdrowiu, a instynkt przetrwania



jest bardzo silny. Aż w końcu po trzecie, bądźmy odpowiedzialni. Żyjemy w społeczeństwie, które jest doprawdy bardzo zróżnicowane. Nie musimy zgadzać się z innymi, ale jeżeli wprowadzane są jednolite zasady, to nie anarchizujemy

ich, uporczywie manifestując pseudoodwagę do ignorowania obostrzeń. Przekora? Nagła potrzeba zrobienia na złość tym, którzy uszanują obowiązujące środki ostrożności bez względu na to, czy robią to z obawy o zdrowie, czy po prostu dla świętego spokoju innych osób w pobliżu?

W ramach refleksji nasuwa się skojarzenie, że przecież nie ma obowiązku mycia rąk po skorzystaniu z toalety. Nie ma obowiązku mycia zębów. Nie ma obowiązku kąpieli. Jednakże z jakichś, bardzo w sumie oczywistych powodów, zdecydowana większość z nas to robi. A czy tymczasowego założenia maseczki w celu pokonania naszego wspólnego problemu nie można potraktować jako egzaminu z dojrzałości i obywatelskiej postawy? Przecież suweren czuje, że odebrano mu wolność. Dusi się wręcz w uściskach rozsądku, a „kagańce” uniemożliwiają egzystencję, bo przecież po raz pierwszy w życiu obawia się o swoje swobody obywatelskie. Szkoda tylko, że nie przekonują o swoich racjach w ramach pełnienia wolontariatów w DPS-ach i szpitalach jednoimiennych. A i na rękawiczkach i maseczkach można by zaoszczędzić.

■ Kamil ŁUKA

TOMORROW BELONGS TO ME

Przyszłość jest niepewna*



Dorota Dominik

W nieprzebranych zasobach filmowych jest wiele wybitnych filmów, kreacji aktorskich czy reżyserskiego mistrzostwa. Nazywane obecnie kultowymi, są przekazywane jako dziedzictwo, kod kulturowy, który zna każdy cywilizowany człowiek. A jednak akurat scena z filmu *Kabaret* Boba Fosse'a, nakręconego prawie pięćdziesiąt lat temu, w 1972 roku, uhonorowanego ośmioma Oscarami, należy do najdoskonalszych w historii kina. Nie da się zapomnieć: oto urodziwy chłopiec, istny cherubin, śpiewa na ludowym festynie piękną i niewinną pieśń. Pieśń o przyszłości, o tym, że „jutro będzie należało do mnie”. Siła refrenu „tomorrow belongs to me” rośnie, kamera śledzi początkowo wykonawcę, następnie kieruje swoje oko na starszych i młodszych ludzi, którzy zaczynają włączać się do śpiewu, wreszcie przenosi się na swastykę na rękawie młodzieńca i ręce wzniesione w geście sięg heil. Ten fragment, do obejrzenia na portalu YouTube, do tej pory odtwarzany był około 42 miliony razy. Przyznaję, że za każdym razem, gdy to oglądam, czuję grozę tego, co nadciąga...

Wybitni autorzy dzieł filmowych i literackich, zawsze przed innymi, kierując się jakimś

niepojętym instynktem – czy może większą niż różni politolodzy, socjologowie czy komentatorzy wrażliwością i zdolnością obserwacji gatunku ludzkiego – kasandrycznie potrafią wieszczyc przyszłość. W latach czterdziestych George Orwell napisał niezbyt optymistyczną wizję przyszłości (1984), wcześniej rozprawiając się z naturą człowieka w *Folwarku zwierzęcym*. Reżyser Lucchino Visconti w 1969 roku zobrazował w *Zmierzchu bogów* narodziny faszyzmu, a wraz z nim zepsucie, demoralizację władzy i oddanie ideologii. Dziś oglądamy *Opowieść podręcznej*, serial nakręcony na podstawie powieści Margaret Atwood z 1985 roku, przerażającą antyutopię, w której kobieta traktowana jest jak przedmiot, a ortodoksja i reżim są jedynym prawem w Republice Gilead.

Co w lekturze z lat osiemdziesiątych wydawało się niemożliwe, że taki kraj i taka zmiana jest niemożliwa, jest całkowitym abstraktem, staje się dziś. Totalitaryzm, nacjonalizm, faszyzm, odrażające słowa, doświadczenia ludzi naznaczonych cierpieniem tracą swoją ostrość, bagatelizowane odradzają się we wzniosłych bogoojczyźnianych hasłach nie tylko w Polsce. Stajemy się głusi, obojętni, zajęci pandemią i swoimi sprawami. Tracimy stopniowo wrażliwość i empatię, stajemy się zamknięci na inność i innych, bojący się jutra. „Wojny dawno nie było” – mawia znajoma psycholożka. Struna frustracji i napięcia społecznego jest już bardzo

Gdy słońko nad łąką ogrzewa mą twarz,
Motylek w promieniach się skrzy,
Ja czuję jak szczęście wypełnia mnie.
Mój będzie jutrzejszy dzień [...] Ojczyzno, ojczyzno, czekamy na znak,
Niech zniknie z serc naszych zły cień.
Jutrzenka oświećli zdobyty świat
Jutro należy do nas!



(piosenka z filmu *Kabaret*, reż. Bob Fosse, 1972)

mocno naciągnięta, byle iskra może rozpalici pożar. Wraz z obojętnością każdego prawie dnia towarzyszy nam lęk przed przyszłością, który jest, bardziej niż kiedyś, jednym z najsilniejszych stresorów w naszym życiu – boimy się o zdrowie, pracę, zabezpieczenie finansowe, bliskich, także o planetę, zarażenie covidem i o to, „jak długo jeszcze”.

Przyszłość jest niepewna. Obawiamy się utraty wolności i możliwości decydowania o sobie, swoim jutrze, które wcale nie musi należeć do nas, bezradności wobec wszechwładnej maszyny nowego Gileadu, z jakim możemy się zderzyć...

■ Dorota DOMINIK

*Przepraszam czytelników, że w numerze jubileuszowym, a tak mało optymistycznie.

KORONAWIRUS KIEDYŚ MINIE

Refleksje na temat koniecznych rozwiązań



Bogusław Kobisz

Wszystkich ludzi i wszystkie rządy na całym świecie zaskoczyła epidemia Covid-19, a w szczególności towarzysząca mu liczba zgonów. Generalnie na całym świecie ludzie zareagowali podobnie. Część społeczeństwa potraktowała tę zarazę poważnie, z powagą zachowując dużą ostrożność, niekiedy graniczącą z paniką. Część społeczeństwa podeszła do niej z niedowierzaniem, niefrasobliwie, lekceważąc. W szczególności młodzi ludzie, gdy dowiedzieli się, że młodzież w większości przechodzi tę chorobę bezobjawowo, rozszalaeni zachowywali się tak, jakby epidemii w ogóle nie było. Sprzeczne komunikaty płynące ze strony rządu i szum informacyjny były przyczyną wielu napięć społecznych. Odezwali się antyszczepionkowcy i grupy awanturujące się z powodu naruszania ich podstawowych praw i swobód.

Wolność wolnością, demokracja demokracją, ale uważam, że po to wybieramy władze, po to one mianują ministrów i urzędników różnego

szczebla, żeby tego typu zaskoczenia jak najmniej sprawiały nam problemów. Pominę fakty, że premier polskiego rządu uspokajał starszych ludzi, twierdząc, iż wirus jest już w odwrocie, że nie ma się czego bać („spokojnie można iść na wybory”), że zmarnowano blisko 70 milionów złotych na wybory, których nie było, że kumpel, który uczył Szumowskiego jazdy na nartach, zarobił miliony na kiepskich maseczkach. Nie wiem, jak skomentować wypowiedzi prezydenta naszego kraju, który namawiał Polaków, żeby nie szczyli się na grype i inne choroby. Nie będę szerzej rozwodził się na temat respiratorów zakupionych od handlarza bronią, których nikt nie widział, i utraconych w związku z tym milionach złotych. Nie będę krytykował głównego inspektora sanitarnego naszego kraju (Pinkas), który zalecał opozycji włożyć sobie lód do majtek, co miało pomóc ochłonić przed strachem wywołanym koronawirusem.

Chcę jednak pewne rzeczy naświetlić i skrytykować. Sejm 2 marca tego roku uchwalił ustawę o szczególnych rozwiązaniach związanych z zapobieganiem, przeciwdziałaniem i zwalczaniem Covid-19 i innych chorób oraz wywołanych nimi

sytuacji kryzysowych. Na podstawie tej ustawy Rada Ministrów wydała rozporządzenie zakazujące wchodzenia do lasów i parków narodowych. Premier oświadczył, że zaczęły tworzyć się tłumy na parkingach i na ścieżkach w lasach i w związku z tym dla dobra obywateli itd. itp. lasy zamknięto. Przypomnę, że w tym czasie w kraju było około 500 osób zarażonych. Dzisiaj, gdy chorych mamy ponad 200 tysięcy, ozdrowieńców ponad 100 tysięcy, gdy zmarły z powodu tej zarazy ponad 4 tysiące osób – lasy i parki są otwarte. Jadę samochodem i słyszę, że jedno z nadleśnictw białostockich zaprasza na imprezy sportowe w lesie i oferuje pomoc instruktorów z dziedziny lekkosportu. Co przeciętny obywatel ma sobie myśleć o tym rządzie i o tym premierze?

Teraz stale słyszymy, że najważniejsze są maseczki, mycie rąk i zachowanie dystansu, unikanie kontaktów. Chciałbym podzielić się z czytelnikami pewnymi spostrzeżeniami i refleksją. Jestem notariuszem, na co dzień z racji wykonywanego zawodu spisuję umowy. Przy sprzedaży działki czy domu potrzebne jest doręczenie szeregu dokumentów, między innymi wypisu z rejestru gruntów, zaświadczenia o planie zagospodarowania przestrzennego, zaświadczenia o strefie rewitalizacji, zaświadczenia o uproszczonym planie urządzania lasu itd. Człowiek musi ganiać po urzędach, żeby zdobyć te dokumenty. W skali kraju to setki tysięcy kontaktów międzyludzkich, a co za tym idzie możliwości rozsiewania wirusa.

Te wszystkie zaświadczenia, bez potrzeby wspomnianych zabiegów i kontaktów, zapewnią moje archiwum i archiwa sądowe. Przecież można byłoby w Internecie opublikować te dane i notariusz miałby tylko obowiązek powołać się na daną stronę. Opłaty za te zaświadczenia, bo na pewno o to tu chodzi, każdy notariusz przelewałby na konto tych instytucji, od których informacje

uzyskał. Klient zostałby finalnie obciążony tymi kosztami na fakturze.

Podałbym tylko ten jeden przykład ze swojego podwórka. Przypuszczam, a w zasadzie jestem pewny, że w wielu innych dziedzinach urzędniczego życia – np. w zakresie geodezji, budownictwa, różnego rodzaju przyłączy – takie przykłady można mnożyć. Mam nadzieję, że ten koronawirus

poprowadzi do tego typu refleksji wielu ludzi i że ten lub następny rząd wprowadzi przepisy, które ułatwią życie wszystkim w czasie spokoju i pandemii.

■ Bogusław KOBISZ,
prawnik

ZERO TOLERANCJI DLA MOBBINGU

Rozmowa z Joanną Koczaj-Dyrda, radcą prawnym



Sylwia Chodorowska-Kozień

Jesteś ofiarą mobbingu? Ofiarą złośliwych uwag, prostackich żartów, seksistowskich zaczepek, wyzwisk, gróźb, pokrzykiwań, poniżania, narzucania niewykonalnych obowiązków. Mobbing to także przerywanie wypowiedzi, krytyka życia osobistego, obmawianie, rozsiewanie plotek, sugerowanie zaburzeń psychicznych, parodiowanie sposobu chodzenia czy mówienia.

❑ **Podobno największą wylęgarnią przemocy w Polsce są urzędy państwowe?**

– W małych miasteczkach urzędy to główny pracodawca. Wszyscy wszystkich znają, są koterie, układy. Prześladowany psychicznie pracownik jest praktycznie bez szans w dochodzeniu sprawiedliwości. Nikt mu nie chce pomóc, bo wszyscy boją się narazić „władzy”.

❑ **To pracodawca ma obowiązek dopilnować, aby dokonywane przez jednych pracowników w stosunku do innych zachowania, sprzeczne z zasadami współżycia społecznego, nigdy nie miały miejsca w zakładzie pracy.**

– Jeżeli pracodawca poweźmie informację na ten temat i nie zrobi nic, będzie biernie legitymowany (pozwany) w sporze sądowym o odszkodowanie za zaniechanie wypełnienia obowiązku przeciwdziałania mobbingowi. Nie będzie miał jak wykazać w sądzie, że mobbingowi przeciwdziałał. Postępowanie będzie dotyczyło czasu przeszłego, zatem przeprowadzane naprędce szkolenia czy pilne wdrażanie polityki antymobbingowej niczego już nie zmieniają. Czasu cofnąć się nie da. Jeśli dobra osobiste jednego pracownika zostaną naruszone przez innego pracownika, poszkodowany pozywa pracodawcę niezależnie od tego, kto w zakładzie pracy dopuścił się tego naruszenia. Jeżeli naruszenia praw pracownika zostaną dokonane przez bezpośredniego przełożonego lub członka zarządu, albo kierownictwa, działania takie są słusznie odbierane jako własne pracodawcy, ponieważ nie ochronił przed nimi pracownika, lecz do nich dopuścił.

❑ **Jakie dobra osobiste narusza mobber?**

– Dobrem osobistym naruszonym w wyniku mobbingu jest nie tylko zdrowie pracownika, ale też jego godność. Godność pracownicza rozumiana jako poczucie własnej wartości, oparte na opinii dobrego fachowca i sumiennego pracownika oraz na uznaniu zdolności, umiejętności i wkładu pracy pracownika przez jego przełożonych. Zgodnie z orzecznictwem, obowiązek poszanowania godności i innych dóbr osobistych pracownika, nałożony na pracodawcę w art. 11 (1) Kodeksu pracy obejmuje także zapobieganie



Joanna Koczaj-Dyrda – radca prawny, przygotowuje się do pracy doktorskiej z zakresu mobbingu. Praktyk i specjalista w zakresie przeciwdziałania mobbingowi, którego sama doświadczyła. Prowadzi szkolenia i wdraża skuteczną politykę antymobbingową u pracodawców. Udziela również wsparcia merytorycznego i psychicznego zarówno pracownikom, jak i pracodawcom oskarżonym o mobbing. Prowadzi kampanię uświadamiającą i popularyzującą politykę antymobbingową. Skuteczna w działaniu. Wygrała wszystkie postępowania przeciwko swoim prześladowcom.

i przeciwdziałanie naruszaniu tych dóbr przez innych, podległych mu pracowników. Z tego względu tolerowanie takich naruszeń stanowi przyczynienie się pracodawcy do wynikającej z nich szkody, uzasadniające jego własną odpowiedzialność za szkodę wyrządzoną z winy jego organu na podstawie art. 416 Kodeksu cywilnego.

❑ **Na czym polega realizacja obowiązku przeciwdziałania mobbingowi w zakładzie pracy?**

– Między innymi na stworzeniu wewnętrz-

nej polityki antymobbingowej, która pozwoli pracownikom na zgłaszanie skarg na mobberów. Czy taka skarga jest zasadna i czy mobbing rzeczywiście miał miejsce, powinna orzec bezstronna komisja antymobbingowa, działająca na zasadach przejrzystości, poufności i równości stron. Procedura powinna mieć charakter wewnętrznej regulacji zakładowej, wprowadzonej w formie zarządzenia w zakładzie pracy. Każdy pracownik – bez wyjątku – musi zapoznać się z tą regulacją i podpisać opatrzone datą oświadczenie, że zapoznał się z jej treścią. Oświadczenie powinno znaleźć się w aktach osobowych pracownika. Wewnętrzna polityka antymobbingowa powinna stanowić oddzielny dokument, równie wysokiej rangi jak regulamin pracy, ponieważ odnosi się do praw i obowiązków wszystkich zatrudnionych. Dokument ten powinien być podpisany i wprowadzony w życie przez zarządzających zakładem pracy, którzy swoim podpisem gwarantują przestrzeganie zapisów w nim zawartych.

❑ **A jeżeli na czele zakładu pracy stoją osoby niewiarygodne, które same są mobberami?**

– Wówczas szkoda czasu na jakiegokolwiek działania. Nikt nie uwierzy w skuteczność takich działań, ani tym bardziej w dobre intencje tych osób. Podobnie, jeśli na czele komisji antymobbingowej będą zasiadać koleżanki i koledzy mobbera, przeciwko któremu została wniesiona skarga – również nie ma co marnować czasu. Nikt żadnej skargi nie złoży, a w sądzie nie będzie się czym bronić. Taka procedura nie stwarza bowiem żadnej realnej ochrony. Jest fikcją.

❑ **Skoro taka procedura antymobbingowa ma za zadanie stworzyć realną ochronę pracowników, zatem musi być przejrzysta.**

– Jak najbardziej. Skarżący pracownik ma prawo uczestniczyć w postępowaniu na każdym etapie, podobnie jak obwiniony; mają równe prawa, mogą uczestniczyć w składaniu zeznań przez świadków, zadawać im pytania oraz osobiście składać zeznania (skarżący) lub wyjaśnienia (obwiniony). Na zakończenie mogą na równych prawach zapoznać się z całością materiału dowodowego i odnieść się do niego pisemnie. W pierwszej kolejności zeznania składa osoba, która złożyła skargę.

❑ **Co powinien zawierać protokół końcowy?**

– Polityka antymobbingowa powinna określać ramy czasowe, w jakich realnie może zostać przeprowadzone całe postępowanie od momentu złożenia skargi do momentu zakoń-

czenia prac. Protokół zawiera końcowe ustalenia wraz z uzasadnieniem oraz rekomendacje dla pracodawcy co do dalszego sposobu postępowania. Musi zawierać precyzyjną informację, czy do naruszeń doszło, a jeśli tak, to do jakich. Komisja

nie podejmuje jednak żadnych decyzji kadrowych ani organizacyjnych – te należą wyłącznie do pracodawcy i to on ponosi odpowiedzialność za dalsze działania w tej sprawie. W sytuacji, gdy zostaje złożona skarga na mobbera, należy nie-

zwłocznie wszcząć procedurę antymobbingową i konsekwentnie doprowadzić ją do końca.

■ Sylwia CHODOROWSKA-KOZIEŃ

ŻYCIE BARDZO BOGATE

Rozmowa z Genowefą Kruczek-Kowalską, stuletnią rzeszowianką



Krystyna Leśniak-Moczuk

W lokalnym środowisku Genowefa Kruczek-Kowalska jest znana jako kobieta niestrudzenie działająca społecznie na rzecz ludzi. Jeszcze w wieku dziewięćdziesięciu kilku lat czynnie uczestniczyła w życiu społecznym Rzeszowa i w wielu wydarzeniach kulturalnych. Nadal interesuje się rozwojem swojego miasta. W 100-lecie jej urodzin prezydent Rzeszowa Tadeusz Ferenc złożył jubilatce wizytę wraz z życzeniami, bukietem kwiatów i koszem słodyczy.

❑ **Wychowała się Pani w wielodzietnej rodzinie znanego społecznika, działacza Stronnictwa Ludowego. Jakie znaczenie miał wpływ domu rodzinnego na kształtowanie się Pani osobowości?**

– Dwóch braci z pierwszego małżeństwa ojca i cztery siostry z drugiego małżeństwa wzrosły w spokojnej atmosferze domowej. Mama zajmowała się wychowywaniem dzieci, gospodarstwem domowym, a ojciec gospodarstwem rolnym. Współdziałał on w organizowaniu ruchu ludowego w Rzeszowie, gdzie w 1896 r. zostało założone Stronnictwo Ludowe. Przez długie lata był wójtem gminy Zwiężczyca. Zajmując się tworzeniem szkół czteroklasowych na wsi, jeździł z petycją do kancelarii cesarza Franciszka Józefa w Wiedniu. Byłam wątłym dzieckiem, nie miałam zdrowia takiego jak moi rówieśnicy i opiekowała się mną lekarka Węglowska. Ukończyłam 7-klasową szkołę podstawową (4 lata w Zwiężczy i 3 lata w Szkole im. Św. Jadwigi przy ulicy Hoffmanowej w Rzeszowie). Ojciec starał się o wykształcenie swoich dzieci i uważał, że w większej rodzinie powinien być lekarz i prawnik. Marzyłam więc o medycynie. Ukończyłam prywatną średnią szkołę przemysłową z maturą, gdzie uczyłam licealnych przedmiotów wraz z nauką gotowania, projektowania ubrań i innych umiejętności. Wojna przeszkodziła mi w dalszym kształceniu.

❑ **Jak ocenia Pani swoją drogę zawodową?**

– Dostosowywałam się zawsze do wymogów pracodawców, ciągle się dokształcając. Przed wojną ukończyłam kurs pisania na maszynie i prowadzenia półkolonii. W wakacje prowadziłam półkolonie w Dylągówce. Po wojnie zostałam przyjęta do pracy w Izbie Skarbowej w Rzeszowie, gdzie kolajonowałam pisma. Podjęty dwuletni kurs księgowości skarbowej zdałam celująco. Przeszłam jako referent pięć wydziałów. Po ukończeniu kursu księgowych zostałam księgową w Dyrekcji Przemysłu Terenowego, stąd przeszedłam do Biura Projektów Budownictwa i Architektury (późniejszego Miastoprojektu). Tu awansowałam na główną księgową. Przez trzy lata dokształcałam się w zakresie filozofii, ekonomii, socjologii i prawa pod nadzorem WUML. Prowadziłam dyskusje z wykładowcami i celującą zdawałam egzaminy. Po kolejnych szkole-



Genowefa Kowalska honorowana przez prezydenta Tadeusza Ferenc na swój jubileusz

niach uzyskałam uprawnienia biegłego rewidenta w budownictwie.

❑ **Znana jest Pani w Rzeszowie jako kobieta zaangażowana w sprawy społeczne. Od kiedy poczuła Pani ten zew otwarcia się na drugiego człowieka?**

– Naturalne było społecznikostwo wyniesione z tradycji rodzinnych. Chociaż ojciec narzekał czasem, że za mało się włączam w politykę. Pod koniec lat 40. współpracowałam w tworzeniu Stowarzyszenia Księgowych i należałam do Związku Stalowców. W latach 50. działałam w Lidze Kobiet, potem w Związku Zawodowym w Sekcji Kobiet Pracujących. Należąc do Związku Skarbowców, zostałam oddelegowana do zorganizowania tego związku przy WSK-PZL Mielec. Wyjeżdżając na delegację do Mielca, zapytano mnie: Czy nie ma w Rzeszowie mężczyzn, że wysyłają kobiety. Damy pani opiekę milicji.

❑ **W jaki sposób swoje życie prywatne wiązała Pani z aktywnością społeczno-zawodową?**

– Nie interesowało mnie małżeństwo, tylko praca. W latach 60. groził wybuch wojny, a ja bardzo źle przeżywałam informacje podczas II wojny dotyczące maltretowania dzieci. Mój przyrodni brat zginął. Nie chciałam więc mieć własnych dzieci. W młodości miałam licznych adoratorów. Oświadczył mi się baron Turnau, prawnik i pianista. Kolejnym ubiegającym się o moją rękę

był Krukierk, biolog studiujący we Francji, syn właściciela rafinerii nafty. W Warszawie główny księgowy w Ministerstwie Budownictwa był uznawany za mojego narzeczonego. Najdłużej sympatyzowałam z architektem, dyrektorem Centralnego Zarządu Przemysłu Terenowego w Warszawie, późniejszym dyrektorem Zjednoczenia Biur Projektowych w Rzeszowie. Wysłałam za mąż w wieku 40 lat i w związku małżeńskim z Władysławem Kowalskim pozostałam przez 10 lat, do śmierci męża.

❑ **Co uważa Pani za swój największy sukces życiowy, za co Panią ludzie cenią?**

– Ze wszystkiego, co dobrze wykonywałam, byłam zadowolona. Ale nie uznaję słowa sukces i nie uważam, że osiągnęłam sukces. Kiedy rozpoczęłam emeryturę w wieku 60 lat, założyłam Uniwersytet Trzeciego Wieku przy Wyższej Szkole Pedagogicznej w Rzeszowie. Był to dwunasty UTW w Polsce. Przy organizacji UTW w Rzeszowie pomagali mi dziennikarze: Ryszard Zatorski z „Trybuny Ludu”, Janusz Majka i Tadeusz Seroka z Polskiego Radia Rzeszów. Szeffową UTW byłam przez 24 lata. W 2007 roku zostałam Honorową Starościnią UTW. Dwukrotnie odznaczono mnie Złotym Krzyżem Zasługi. Otrzymałam też odznakę Zasłużona dla Miastoprojektu, Złotą Odznakę Towarzystwa Ekonomicznego i Srebrną Stowarzyszenia Księgowych. Za zaangażowanie i regularną pomoc chorym i cierpiącym dzieciom zostałam uhonorowana tytułem Ambasador Fundacji Dr Clown. Towarzystwo Przyjaciół Rzeszowa przyznało mi w 2016 roku odznakę Przyjaciół Rzeszowa. W 2019 roku zostałam uhonorowana Wielkim Medalem Uniwersytetu Rzeszowskiego.

❑ **Jako stulatka jest Pani nadal zaangażowana emocjonalnie, a do niedawna także czynnie w życie społeczne Rzeszowa i interesuje się Pani bieżącymi wydarzeniami w każdej dziedzinie. Jakie czynniki pozwoliły Pani na osiągnięcie tak aktywnej długowieczności?**

– Dbałam bardzo o zdrowie, wspomagając swój organizm dobrym odżywianiem. Miałam dobrych lekarzy, nie piłam alkoholu, choć paliłam papierosy przez 30 lat. Nie liczyłam nigdy lat, interesowała mnie praca zawodowa, dokształcanie i działanie na rzecz ludzi. Poczucie, że jest się potrzebnym, że jest coś do zrobienia w społeczności lokalnej daje mi satysfakcję. Kiedy prezydent Tadeusz Ferenc odwiedził mnie podczas jubileuszu moich setnych urodzin, powiedziałam mu, że jeśli mi dobrze życzy, to niech obieca, że w Rzeszowie powstanie opera. Już wtedy z nim przedyskutowałam odpowiedni teren pod jej budowę.

❑ **Życie jest ubogie, jeśli nie działamy na rzecz innych. W kontekście dokonaj Pani Genowefy, jej życie jest bardzo bogate.**

■ Krystyna LEŚNIAK-MOCZUK

W PRZEDWOJENNYM RZESZOWIE

Nasze miasto na barwionych widokówkach



Zbigniew Grzyś

Porządkując domowe archiwum, natrafiłem na serię zdjęć ze starego przedwojennego Rzeszowa. Ciekawie uformowanych graficznie, bo są to pocztówki barwione, drukowane we Lwowie. Urokliwe plastycznie, mogą wzbudzić sentymentalne wspomnienia u tych rzeszowian, którzy pamiętają nasze miasto sprzed wojny, a tym współcześnie zagnieżdżonym tutaj poszerzyć wiedzę o tradycjach Rzeszowa. Miasta, którego obraz z przeszłości w encyklopedycznym opisie ujęli Mieczysław Czuma, Leszek Mazan tak, jak poniżej można przeczytać. Cytat zaczerpnięty z ich książki *Austriackie gadanie, czyli Encyklopedia Galicyjska*.

„Mojżeszów, popularna w Galicji nazwa miasta Rzeszowa („większego między mniejszymi”), leżącego na osi wiodącego od Krakowa do Przemyśla „ruskiego gościńca”. Jej motywacją był fakt, iż przeważającą grupą narodowościową byli tam Żydzi 1869 – 54,5 proc. ogółu mieszkańców; 1880 – 52,2 proc; 1910, po przyłączeniu katolickich przedmieść – 57%). W 1886 r. Rada Miasta zmuszona była zlikwidować zakaz pracy w niedzielę i święta: »Z uwagi na stosunki miejscowe sklepy i zakłady przemysłowe otwarte będą w te dni zimą od dziewiątej do piętnastej bez przerwy, latem zaś od ósmej do czternastej«.

Oblicze miasta kształtowały również coroczne uroczyska i masowo obchodzone święta żydowskie: Dzień Pojednania (Jom Kipur), Święto Szałasów lub Kuczek (Sukot), Paschy (Pesach, zwany przez chrześcijańską mniejszość Pejsach), Odnowienia (Chanuka), Nowy Rok (Rosz Haszana), Święto Losów (Purim). Święta te przez swą egzotykę »nadawały miastu swoisty, właściwy tej religii charakter, wzbudzając wielkie zainteresowanie wśród chrześcijan. Wywoływały też gniew tych grup katolików, które nie tolerowały innych wierzeń i zachowań«. (J. Szymczak-Hoff). Próby asymilacji Żydów były rzadkie, efekty mierne (w 1902 r. asesor Wilhelm Hochfeld dwukrotnie pojedykował się i przegrał – z powodu odmowy przyjęcia go do kasyna polskiego; inni przedstawiciele żydowskiej inteligencji bywali jednak czasem przyjmowani).

W mieście istniało kasyno żydowskie vulgo kupieckie, oskarżane systematycznie przez mniejszość polską, iż m.in. »jego członkowie mówią ze sobą przeważnie po niemiecku« i że »w tym przybytku muzy żydowskiej obrabia się codziennie wszystkie sprawy dotyczące polityki miejskiej«. Z ostrym protestem spotkało się urządzenie przez właściciela kamienicy przy ul. Zamkowej Blumenkranza »kuczki« (symbolicznego szałas w Święto Szałasów) na balkonie I piętra od frontu. Oburzenie wywoływały również ogłoszenia redagowane w języku hebrajskim o »wieczorkach narodowych żydowskich« w udostępnianym organizacjom żydowskim przez polskiego Sokoła budynku (J. Szymczak-Hoff)».

■ Wyszukał Zbigniew GRZYŚ
Przedwojenne pocztówki barwione
z archiwum Zbigniewa Grzysia



Rynek w Rzeszowie



Rynek Nowego Miasta (obecny Plac Wolności)



Targowica



Ul. Dąbrowskiego (koszary)

NIE DOCZekał

Historia strasznych losów rzeszowskich Żydów



Bogusław Kotula

Mój Ojciec Franciszek Kotula nie doczekał się wydania swojej książki *Losy Żydów rzeszowskich 1939–1944. Kronika tamtych lat*. Szkoda, bo jak jest podkreślone w tytule, jest to kronika tamtych lat. Ale próby były i w roku 1950, i w 1984. Dlaczego ta historia strasznych losów rzeszowskich Żydów nie znalazła się na księgarskich półkach?

Franciszek Kotula znał dobrze i jidysz, i hebrajski. Nauczył go tych języków bardzo ortodoksyjny żydowski przyjaciel, który w roku 1938 wyjechał do USA. Kotula jeszcze za czasów seminaryjnych interesował się historią i kulturą rzeszowskich Żydów, których nad Wisłokiem i Mikośką mieszkało przed wojną ponad 15 tysięcy. Za czasów okupacji hitlerowskiej utrzymywał kontakt z mieszkańcami rzeszowskiego getta. Pisano o tym sporo. Mnie zainteresowało coś innego. Od roku 1999 zacząłem korespondować z rzeszowskimi Żydami, których los zaniósł do USA, Australii, Szwecji, Kanady, Brazylii i Francji. Tych przeciekawych listów mam dobrych parę setek. Z moich korespondencyjnych przyjaciół nikt już nie żyje. Ostatni, Żyd z Głogowa, Naftali Langsam zmarł w ubiegłym roku w Tel

Awiiwie. Podczas okupacji przechowała go polska rodzina z przyrynkowej uliczki Rzeszowa.

Był to rok 1950. Do tego czasu nie udało się autorowi wydać tych swoich pamiętników. Nawiązał kontakt z jakimś wydawnictwem w Izraelu. Do władz rzeszowskich skierował prośbę o przesłanie maszynopisu do Izraela. W niedzielne przedpołudnie przyszło do naszego domu przy ulicy Niemcewicza dwóch elegancko ubranych mężczyzn. Słyszałem rozmowę przycup-

nięty w sieni, skąd prowadziły drzwi do ojcowego pokoju. Pamiętam tylko jedno, jakże istotne zdanie, a właściwie pytanie któregoś z tych gości (?): – Aaaaa, kto weźmie odpowiedzialność za jakąś treść, którą mogą dopisać tam w Izraelu? Dla ojca było to wystarczające. Wiadomo, skąd byli ci panowie.

W latach 80. działał w Rzeszowie bardzo prężnie oddział Krajowej Agencji Wydawniczej, gdzie chciano wydać tę tragiczną w treści publikację. Do tej Agencji nadeszło kilka recenzji, w tym dwie nieprzychylnie. I na tym skończyły się dobre chęci KAW-u.

Franciszek Kotula zmarł w roku 1983. Wychozące w Rzeszowie czasopismo „San” druko-

ku. Jeździłem już wtedy rodzinną małą zastawą. Mieszkałiśmy jeszcze przy Niemcewicza. W jednej z gospodarczych komórek na stryżku ojciec przechowywał stopy swoich papierów. Pewnego dnia z samego rana zobowiązał mnie do zapakowania kupy teczek i wywiezienia ich do Głogowa Małopolskiego. Ciocia Hela zapaliła w chlebowym piecu. Wiedziałem po co. Kiedy ojciec gadał ze swoim bratem, ja zacząłem przerzucać te czki z odręcznymi napisami: Żydzi. Przed ojcowskim upomnieniem zdążyłem tylko doczytać się o nazwiskach tych rzeszowiaków żydowskiego pochodzenia, którzy zmienili swoje nazwiska i zawody. Chlebowy piec robił swoje...

A może jeszcze dwie inne ciekawostki? Po śmierci mojego starszego brata Sławomira w rodzinnym domu „Kotulowych” odnalazły się dwie grube te czki z odręcznymi podpisami: „Otworzyć 20 lat po mojej śmierci”. Nie mam odwagi tego zrobić. Może na razie?...

Na koniec duża niespodzianka! Rzeszowska Żydówka Gabrielle Eisen mieszkająca w Australii wydała te *Losy Żydów rzeszowskich* po angielsku. Wydawnictwem zajął się Peter Levy. Ile to już lat minęło od śmierci autora? Na pewno tam w swoich zaświatach ucieszył się!

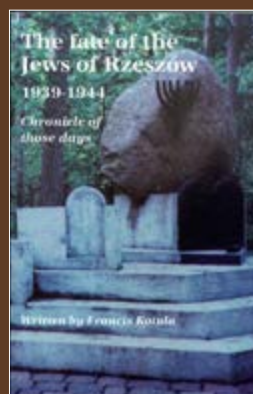
■ Bogusław KOTULA



Rok 1999. Książka wydana przez Społeczny Komitet Wydania Dzieł Franciszka Kotuli w Rzeszowie. Zdjęcie na okładce: Getto rzeszowskie – modlitwa żydów na ulicy Szpitalnej



Rok 2019. Wydanie drugie opracowane na podstawie wydania z roku 1999. Wydawcy: Fundacja Rzeszowskiego Ośrodka Archeologicznego i Oficyna Wydawnicza Zimowit



Rok 2020. *The fate of the Jews of Rzeszow*. Przetłumaczone przez Gabrielle Eisen na angielski wydanie z roku 1999; wydawca Ingram Spark Australia Petera Levy'ego

wało w odcinkach te „żydowskie losy”. W latach 90. powstał Społeczny Komitet Wydania Dzieł Franciszka Kotuli, który zrealizował ten zamiar, a to dzięki przede wszystkim mgr Wandzie Tarnawskiej, która zredagowała bardzo fachowo tę publikację. Drugie wydanie *Losów* ukazało się w roku 2019 w Rzeszowie, wydrukowane przez Oficynę Wydawniczą Zimowit. Przy tej okazji chcę wrócić jeszcze do pewnej ciekawostki. Był to rok około siedemdziesiąty w ubiegłym wie-

ku. Jeździłem już wtedy rodzinną małą zastawą. Mieszkałiśmy jeszcze przy Niemcewicza. W jednej z gospodarczych komórek na stryżku ojciec przechowywał stopy swoich papierów. Pewnego dnia z samego rana zobowiązał mnie do zapakowania kupy teczek i wywiezienia ich do Głogowa Małopolskiego. Ciocia Hela zapaliła w chlebowym piecu. Wiedziałem po co. Kiedy ojciec gadał ze swoim bratem, ja zacząłem przerzucać te czki z odręcznymi napisami: Żydzi. Przed ojcowskim upomnieniem zdążyłem tylko doczytać się o nazwiskach tych rzeszowiaków żydowskiego pochodzenia, którzy zmienili swoje nazwiska i zawody. Chlebowy piec robił swoje...



Teren starego cmentarza przy synagogach (obecny plac Ofiar Getta) po wyburzeniu przez Niemców murów i nagrobków



Deportacja mężczyzn żydowskich do obozu koncentracyjnego. Przemarsz ulicą Zbyszewskiego w kierunku stacji kolejowej

PAMIĘĆ CIĄGLE ŻYWA

W pięćdziesiątą rocznicę śmierci Juliana Przybosia



Maria Stefanik

6 października 2020 roku, w 50. rocznicę śmierci wybitnego poety Juliana Przybosia, zgromadzonych nad jego grobem w Gwoźnicy przywitało ciepło jesiennego dnia i słońce. Słońce, tak ważne dla artysty, obecne w jego twórczości w kształcie solarnego mitu, znalazło się też w cytacie z wiersza Przybosia, zapisanym na płycie nagrobnej: „Zamówilem dla siebie stos/ na ziemi u słońca./ Mowo, niesłowną jasność/ ocal”. W ceremonii złożenia kwiatów oraz zapalenia zniczy na grobie poety w Gwoźnicy uczestniczyli członkowie rzeszowskiego oddziału Związku Literatów Polskich Adam Decowski, Mieczysław A. Łyp, Maria Stefanik oraz dyrektor Departamentu Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Marszałkowskiego w Rzeszowie Robert Godek, sołtys Gwoźnicy Piotr Kozdraś i Małgorzata Pryć, była dyrektor Zespołu Szkół im. Juliana Przybosia w Gwoźnicy.

Warto dodać, iż w roku 1965 Julian Przyboś złożył w Państwowym Biurze Notarialnym w Warszawie swój testament, w którym wyraził wolę, aby ciało jego po śmierci spalono. Wkrótce zmienił warunki testamentu, życząc sobie pochówku w Gwoźnicy na wzgórzu Patra i umieszczenia na grobie zacytowanego powyżej fragmentu wiersza. Ostatecznie został pochowany na cmentarzu w Gwoźnicy.

Według opinii Józefa Duka: „Lata gospodarowania na roli w Gwoźnicy – ów przymusowy Czarnolas (1942–1944) – sprawiły, że poezja Przybosia osiągnęła niebywałą wagę wyrazu” (J. Duk, Wstęp do: *Julian Przyboś, Wybór poezji* Łódź 1986). O tych szczególnych związkach poety z Gwoźnicą, o jego biografii, jego twórczości i percepcji jego dzieła mówili zgromadzeni na uroczystości goście. Mieczysław A. Łyp podjął temat solarnego kultu w twórczości Przybosia, szczególnie wyraźnie obecnego w zbiorze *Narzędzie ze światła*, zawierającego słynny cykl *Człowiek bez granic* i cykl poematów prozą *Pióro z ognia*. Podkreślił, iż nawet w *Wierszach ostatnich*, takich jak

W głąb las (II), Wiosna 70 czy *Bez wiosny słońce* było ciągle obecne. W szpitalnej sali w kwietniu 1970 roku Julian Przyboś pisał: „Ze łzawiącym wytrzeszczem i nieruchomą powieką/ w zamroczeniu zapaści – kołującej mojej głowie/ jest do słońca daleko –/ jak je w ścianie wysłowież?/ Bez wiosny”. M. Łyp, autor *Rozmów z Julianem Przybosiem*, podkreślił fakt, że w rzeszowskim środowisku literackim poeta cieszył się wielką estymą. To na jego cześć ówczesny prezes Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy Tadeusz



Julian Przyboś

Kubas w 1967 roku zmienił nazwę na KKMP „Gwoźnica”. W roku 1969 ukazał się *II Almanach poetów rzeszowskich „Gwoźnica”*. Profesor Stanisław Frycie, wówczas doc. dr i dziekan Wydziału Filologicznego WSP w Rzeszowie, zorganizował wielką sesję naukową o twórczości Przybosia, a w 1971 roku ukazał się zbiór artykułów i rozpraw pt. *Julian Przyboś – życie i dzieło poetyckie* pod redakcją S. Fryciego. Od 1978 r. KKMP „Gwoźnica” wspólnie z redakcją „Prometeja” i „Nowego Wyrazu” organizował coroczny konkurs poetycki poświęcony pamięci J. Przybosia pod nazwą „Patra”.

Pamięć o poecie jest ciągle żywa. Naukowcy z kręgu Uniwersytetu Rzeszowskiego wciąż podejmują badania twórczości i biografii poety, jak np. prof. Gustaw Ostasz w zbiorze szkiców *Śladami poezji czystej* (2017), czy autorzy pracy zbiorowej *Przyboś dzisiaj* (2017). Poeci z oddziału ZLP w Rzeszowie także prowadzą nieustanny dialog ze spuścizną autora *Kwiatu nieznanego*. Można tu w tym aspekcie wymienić Zdzisława Górską oraz Mieczysława A. Łypa.

■ Maria STEFANIK



Przy grobie Juliana Przybosia w Gwoźnicy w 50. rocznicę śmierci poety. Od lewej Małgorzata Pryć, Robert Godek, Mieczysław A. Łyp, Maria Stefanik, Adam Decowski

NA JAZZOWEJ TRASIE

Remembering Kosz w rzeszowskim WDK

Wzrok stracił w czternastym roku życia w wyniku postępującej od urodzenia nieustępliwej choroby. Mieczysław Kosz, bo o nim mowa, wychowywany w wielodzietnej rodzinie na Lubelszczyźnie, został oddany do ośrodka dla niewidomych w Laskach. Tu rozpoczął naukę. Potem była szkoła muzyczna z niezwykle wyrozumiałą pedagog. W szkole tej dojrzewał artystycznie w kręgu muzyki klasycznej od Bacha począwszy, nie omijając Beethovena, Liszta, Chopina.

Ale już na tym etapie zaczął zwracać na siebie uwagę bogatą wyobraźnią i wyjątkowymi skłonnościami do przetwarzania utworów, umiejętnościami improwizatorskimi. To otwo-

rzyło mu drogę na samodzielnej egzystencji, mimo trudności, jakie na każdym kroku stwarzała mu ślepotą. Był Kraków, było Zakopane, była Warszawa, gdzie zdobył sobie należną mu



Koncert zespołu RGG Trio

Fot. Wit Hadlio

pozycję artystyczną. Z czasem okazało się, że ma znaczący wpływ na pianistyczną w Polsce szkołę jazzu. Krytycy twierdzą, że stworzył styl łączący pianistykę jazzową z muzyką romantyczną, nawet z elementami polskiego folkloru, także z free jazzem. W latach 60. i na początku 70. był artystą wyróżniającym się w polskim środowisku jazzowym. koncertował z wybitnymi polskimi jazzmanami.

Miał pracę, miał pieniądze. Jednak z racji swojego kalektwa był samotny, samotny w tłumie wielbiących jego talent, nie zawsze uczciwych. To z czasem doprowadziło go do alkoholizmu i depresji. Któregoś dnia w 1973 roku

wypadł przez okno swojego mieszkania w Warszawie, ponosząc śmierć na miejscu. Jedną z wersji mówi, że było to samobójstwo. Miał wówczas 29 lat. Mieczysław Kosz pozostawił po sobie płytowe nagrania. Zrealizowano o nim film fabularny *Ikar. Legenda Mietka Kosza*. Krzysztof Karpiński napisał o nim książkę *Tylko smutek jest piękny. Opowieść o Mieczysławie Koszu*. Trio RGG uczciło pamięć Mieczysława Kosza, wydając płytę *Unfinished Story*.

RGG Trio powstało w roku 2001, a w obecnym składzie koncertuje od 2013 roku. Tworzą go absolwenci Instytutu Jazzu Akademii Muzycznej w Katowicach w składzie: pianista Łu-

kaszk Ojdana, kontrabasista Maciej Garbowski oraz perkusista Krzysztof Gradziuk. To właśnie RGG Trio wystąpiło z koncertem zatytułowanym *Remembering Kosz* 8 października br. w sali widowiskowej Wojewódzkiego Domu Kultury w Rzeszowie, wprowadzając przerzedzoną z racji pandemii wierną jazzowi publiczność w klimaty twórczości Mieczysława Kosza, wspierane merytoryczną wiedzą red. Elżbiety Lewickiej. Koncert był swoistą forpocztą zaplanowanej przez RGG Trio na listopad trasy koncertowej w kilkunastu miastach Polski.

■ Jerzy DYNIA

MISTYCZNY ŻAR

Iluminacja wulkanów Jerzego Fąfary



Jan Belcik

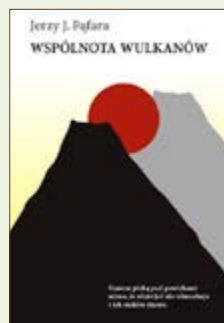
Zawsze zadziwia mnie osobliwa żarliwość liryczna u autorów, którzy jedli już chleb z niejednego pieca. Zadziwia w sensie pozytywnym, bo mogłoby się wydawać, że czas ekscytacji lirycznych to domena ludzi młodych. W tym sensie Jerzy Fąfara jest takim właśnie młodym człowiekiem, ale mimo to posiadającym ogromny dorobek liryczny i prozatorski. To autor książek biograficznych (m.in. o Józefie Szajnie, Franciszku Chrapkiewicz-Chapeville'u, Stanisławie Szpunarze), słuchowisk radiowych, czterech tomików poetyckich, a także scenarzysta i wydawca.

W ostatnim zbiorze wierszy Jerzego Fąfary, zatytułowanym *Wspólnota wulkanów*, oprócz ładunku liryki uwagę zwraca wspomniana żarliwość. Z jednej strony jest ona miarą poetyckości samą w sobie, a z drugiej elementem poszerzającym wszystkie tęcze wyobraźni, które było nam dotychczas poznać... Wypełnia ten tom gorąca lava dzieciństwa i młodości, a sprzęgnięta z doświadczeniem życiowym poety daje barwny konglomerat zaszłości wpisanej w cykliczność tego, co wiecznotrwałe. Penetruje on obszary z jednej strony bliskie, z Nadwisłocza. Ale jednocześnie, z drugiej strony przywołuje wraz z nimi krąg kultury śródziemnomorskiej, jak choćby w wierszu *Twarze barbarzyńców*.

Jest jakiś żar tropików w tej poezji, namietności wytryskującej jak lava z każdego wersu, z każdego otarcia słowa o słowo. Zmysłowość w tej liryce wnika w przestrzeń sensualistyczną, w ból egzystencjalny, tworząc mapę filozoficznych znaków naszej epoki. Jest też ten tom dedykowany nieżyjącym już rodzicom poety, więc pojawiają się w nim również wątki funeralne, eschatologiczne. W wierszu *Kora* podmiot liryczny wyjawia: „Ojciec już nie mówił./ Mówiły jego oczy:/ – Jestem korą drzewa,/ nie opukuj mnie synu”. Tak pojmany akt niewerbalnej komunikacji możemy uznać za swoisty zapis przejmującej rozmowy ojca z synem. Słowa: „– Nie opukuj mnie./ – Odpadnę” sugerują, że obopólne przywiązanie

między nimi jest o wiele większe niż zazwyczaj ma to miejsce w odbiegających od ideału relacjach rodzinnych. A owo metafizyczne odziedzenie rodzi nadzieję, że bohater zdaje sobie sprawę z wagi tego przywiązania, pomimo „zgrubień na korze”, bo wie, jak szybko każdy z nas „staje się drzewem”, żegna się z kruchym, przemijającym życiem. Podobną strukturę posiada wiersz *Czarne okna*, dedykowany matce. Poeta opisuje ją taką, jaką zapamiętał ją w swej młodości, co nie przeszkadza mu we wpleceniu jej życia w obejmujący ją już wtedy w cień przemijania: „i jeszcze jeden trzepot/ a właściwie jego cień/ i zdziwienie/ że w cieniu usłyszeć można jej głos/ gdy była jeszcze młoda/ i wystarczyło rozczesywać jasne włosy/ na parapecie okna/ i śpiewać albo uciekać przed/ śladami własnych stóp na piasku.../ I że tylko tyle po niej zostało/ Wiatr!”. To niezwykły wiatr i cień, w których rzeczywistość nie tylko rozplywa się w niepamięć, ale wręcz odwrotnie: przywołuje pamięć, natężając ją wyraziście w odtworzonej kliszy lustra czasu. Można powiedzieć, że nic nie ginie w przyrodzie. Jednak tylko wtedy, gdy ma się do czynienia z wyjątkową czułością zmysłów poety. A w tym przypadku niewątpliwie obucjemy z taką czułością. W wierszu *Galicyskie dworcowe ławeczki* podmiot liryczny relacjonuje: „– Spóźniłeś się synu – ojciec oparł obie dłonie/ o łaskę jak ktoś kto patrzy za horyzont/ – Spóźniłeś się – powiedziała matka/ [...] – Jak mały chłopiec – powtórzył”, ale my mamy wręcz pewność, że poeta zdążył, że nie umknęło mu to, co najważniejsze, że jego chłopięca wrażliwość przywróciła przestrzeń, w której rozmowa z najbliższymi staje się możliwa.

Jest też poeta niezwykłym kronikarzem Rzeszowa, a jego tytułowy wiersz *Wspólnota wulkanów*, w którym czytamy: „Najwspanialsze wulkany powstawały/ nad Wisłokiem – rzeką wędrującą przez miasto/ na wylot jak igła z nicią przez palec/ [...] Góra wpięrw dymia, później strzelała ogniem./ Bóg był z nami, a my byliśmy Bogiem,/ Wulkan wulkanem, a reszta w nas”, jest jego afirmacją. Widząc ten obraz, zaczynamy żałować, że nie znaleźliśmy się właśnie tam – w tamtym czasie z poetą, aby do-



świadczyć podobnego uniesienia i jednocześnie zdać sobie sprawę z tego, że owa wspólnota wulkanów ma swe źródła w literaturze światowej. Bo oto po czterdziestu latach od budowania owych wulkanów z piasku podmiot liryczny zauważył, że wybitny włoski poeta Roberto Salvadori także to uczynił w swoim wierszu, wspominając: „to wspaniale budować o zachodzie wulkany na piasku”. Tak, to inicjacyjna podróż do wulkanów, do młodości, pomimo że „Czasem pieką pod powiekami,/ mimo że wiatr już nie zdmuchuje z ich stoków ziaren”. Każdy z wierszy w tym tomie jest ważny, są tu w *Synach wieloryba* nawiązania do pięknej pogańskiej baśniowości – do dnia najdłuższej czerwcowej nocy w dniu św. Jana, gdy bohater liryków stwierdza: „Nigdy nie zdążyliśmy dogonić kobiet z naszej ulicy [...] Widzieliśmy tylko białe stopy,/ srebrne pięty siostry księżycy/ łuki paznokci w grzbietach karpi [...] Wracały do domów brzemienne”. W wierszu *Przewoźnik deszczu* pojawia się metaforyczna podróż ku drugiej stronie otaczającej nas rzeczywistości: „na przekór rewolucjom/ lękowi rodziców/ i udom tęczy rozwartej między brzegami Wisłoka” z odniesieniami do krypt (legendarnego Nitki z Rzeszowa?), ale też Hadesu, bo to może właśnie tam „przewoźnik czeka na nas nieochrzczonych/ po drugiej stronie tęczy”.

Podmiot liryczny pozostawia nam także wiele tropów literackich, jakimi są np. śmierć Bohumila Hrabala i Zuzanny Ginczanki, zło w kontekście doświadczeń Józefa Szajny czy przemijanie przywołane za sprawą znaków starożytności w Rzeszowie w odpowiedzi na wiersz poetki i tłumaczki Krystyny Rodowskiej.

Lubię czytać poezję Jerzego Fąfary. Jest w niej wręcz somnambuliczna chęć dotarcia do granic, w których życie rozsypuje się jak ziarenka piasku wulkanicznego Fidzi znad Wisłoka. A jednocześnie – na tej samej granicy, każde ziarenko owego piasku ma strukturę iluminacji, składającą się na nową opowieść, nową historię, żar rozbudzonej wyobraźni.

■ Jan BELCIK

Jerzy J. Fąfara, *Wspólnota wulkanów*, Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu w Rzeszowie, Rzeszów 2020.

ÓSMY, COVIDOWY Najazd Awangardy na Rzeszów za nami

Dnia 27 października Teatr im. Wandy Siemaszkowej (po okresie kwarantanny) ponownie przyjął na swojej dużej scenie gości VIII Najazdu Awangardy na Rzeszów. Spotkanie odbyło się w ramach projektu Przestrzenie Sztuki, finansowanego ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Epidemia nie przeszkodziła przeprowadzeniu tej organizowanej z rozmachem imprezy, aczkolwiek przerzuciła nieco szeregi jej uczestników. Spotkanie poprowadzili z dużą dozą ekspresji Jagoda Skowron, pełnomocnik dyrektora teatru, i Stanisław Dłuski, poeta pochodzący z Dębowca, związany z Rzeszowem i tutejszym



Alek Berkowicz, Stanisław Dłuski, Małgorzata Machowska, Robert Chodur

uniwersytetem. Podczas wieczoru publiczność usłyszała wiersze jego autorstwa, a także: Jana Belcika, Piotra Duraka, Kamila Flagi,

Mariusza Kalandyka, Krystyny Lenkowskiej, Ryszarda Mściszka, Jakuba Pacześniaka, Yousefa Sh'Hadeha, Natalii Szumnej, Jana Tulika, Arkadiusza Tuziaka, Małgorzaty Żureckiej. Gościem honorowym był Krzysztof Karasek, który uczestniczył w spotkaniu, łącząc się z publicznością za pośrednictwem konferencji telefonicznej.

Utwory liryczne wyżej wymienionych poetów zinterpretowali aktorzy Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie – Małgorzata Machowska i Robert Chodur. Oprawę artystyczną wieczoru wzbogacił awangardowy recital wokalnomozykalny Alka Berkowicza.

■ Jan BELCIK

JAN TULIK UHONOROWANY Nagroda im. Jarosława Iwaszkiewicza

Jan Tulik został uhonorowany Nagrodą im. Jarosława Iwaszkiewicza za rok 2020 za całokształt swojej twórczości literackiej. Ta nagroda literacka jest przyznawana od 2005 r. przez Związek Literatów Polskich, a finansuje ją Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Wyboru laureatów Nagrody dokonuje Kapituła Nagrody, w skład której weszli: Andrzej Zieniewicz – przewodniczący, Marek Wawrzkiwicz, Andrzej Tchórzewski, Zbigniew Milewski i Leszek Żuliński. Trzeba przypomnieć, że wcześniej laureatami tej nagrody byli m.in. tak znakomici pisarze, jak Julian Kawalec i Edward Redliński.

Jan Tulik, poeta i prozaik, dramaturg, eseista i publicysta, jest autorem m.in. czterech tomów wierszy, w tym dwóch wyborów (najnowsze tomy to *Nocny deszcz* (2016), poemat *Trzewiczek Amalii albo umarłych z żywymi obcowanie* (2016, II wyd. 2019), *Opisze to noc. 101 pomysłów na uty i haiku* (2019), *Tratwy Nostradamusa* (2020), powieści *Doświadczenie* (1986, nagroda wyd. MAW) i *Furta* (2001, Nagroda Fundacji Kultury), opowiadań zebranych w tomie *Gry nieużyteczne*, dramatu *Kontynenty* (w repertuarze krakowskiego



Jan Tulik

Teatru bez Rzędów) czy też zbioru legend o Krośnie, a także o świętym Janie z Dukli. Oprócz tego jest autorem monografii (m.in. o wynalazcy Janie Szczepaniku oraz o życiu i twórczości Franciszka Pika-Mirandoli), esejów, recenzji, słuchowisk radiowych (prezentowanych przez Jedynkę, Trójkę i rozgłoszenie Radia Rzeszów) i felietonów. Jego twórczość literacka była wielokrotnie wyróżniana i nagradzana, m.in. Nagrodą im. Stanisława Piętaka, im. Ryszarda Milczewskiego-Bruna, Fundacji

Kultury. Jan Tulik otrzymał także nagrody: Prezydenta Miasta Rzeszowa i Prezydenta Miasta Krosna. Został również odznaczony Srebrnym Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis. Należy do SEC (Stowarzyszenia Kultury Europejskiej). Mieszka w Miejscu Piastowym na Podkarpaciu.

Otrzymanie nagrody przez Jana Tulika tak podsumowała Rena Marciniak-Kosmowska: „Ciesz się, że w tym roku tę nagrodę otrzymał Janek Tulik – poeta, prozaik, autor słuchowisk, krytyk i eseista o ważnym, znaczącym dorobku na mapie literackiej. Niedawno pisałam tu o jego najnowszym zbiorze wierszy pt. *Tratwy Nostradamusa* oraz przypominałam o jego znakomitej powieści *Furta*. Niewiele mamy w naszej literaturze współczesnej takich perełek. Z okazji tej nagrody postanowiłyśmy z Grażyną Sybirką-Wilk (z którą przez kilkanaście lat zorganizowałyśmy wiele ciekawych spotkań i wystaw), by kolejną naszą imprezę literacko-plastyczną poświęcić właśnie twórczości Janka. Zaprzyjaźnieni aktorzy mieli prezentować jego liryki i fragmenty prozy. Zadbaliśmy też o oprawę muzyczną i plastyczną. Niestety, ponieważ Warszawa także się „zaczerniła”, odkładamy tę imprezę na lepsze, przyjaźniejsze spotkania i kontaktom bezpośrednim czasu”.

■ Jan BELCIK

Stanisław Dłuski

KARTKI Z PAWLACZA (85)



Poemat „Uroczystości” Krzysztofa Karaska (ur. 1937) to synteza poznania, wyobraźni i mitu. W ogóle wybór wierszy pt. „Święty związek” (1997) to przypomnienie o tym, co jest istotą religijnej wrażliwości, czyli

odwiecznej więzi między wszelkimi istotami; więzi, która przenika i wiąże tajemniczymi niemi cały kosmos. Zresztą, kosmologia Karaska to temat na osobny esej, zaryzykowałbym tezę, że dla wyobraźni poety najważniejszy jest żywioł powietrza, związany z marzeniem, motywem lotu, ornitologią poetycką (Gaston Bachelard).

Szaman to „ktoś wtajemniczony i nawiedzany”, w jednym z wierszy czytamy: „Byłem

jak rybak moknący na deszczu/ Ale złowiłem najpiękniejszą rybę/ Jestem strumieniem a ona płynie we mnie// Byłem ciemny i zlorczyłem istnieniu/ A teraz wypełnia mnie jasność// Widzę niemo, w zachwyceniu/ Żyję”. Poeta wchodzi w okres orficki, jak zauważa Kociuba, słowo ma tutaj moc sprawczą, kreacyjną, „może powodować zmiany w strukturze bytu”. Można dodać, że tradycja orficka, związana z widzeniem eschatologicznym, łączy się z tradycją biblijną. Kultura chrześcijańska wiele zawdzięcza kulturze antycznej, orfickiej.

Najważniejszy bohater liryczny tej poezji to rozbiitek, określa to sytuację egzystencjalną, duchową, mentalną poety, ale to również figura ludzkiego losu (Homer, Joyce etc.), nie prowadzi to jednak do bezwzględnie pesymizmu,

raczej do akceptacji, afirmacji jasnych i ciemnych stron życia. Trafnie tę postawę i sytuację rozbitka opisuje Cioran, jakże bliski Karaskowi, może ostatni wielki filozof XX wieku: „Rozbiitek, chłostany przez wszystkie fale, rzucany o każdą skałę, pochłaniany przez wszystkie ciemności, który wciąż trzyma słońce w swych ramionach. Straceniec tułający się ze źródłem życia w sercu [...]”.

Dzisiaj chyba wszyscy czujemy się trochę rozbitkami... na wzburzonym oceanie życia.

PS

Dziękuję Redakcji za gościnność na tych łamach i życzę zdrowych, twórczych lat, bo bez kultury będziemy zwykłymi barbarzyńcami.

24.10.2020 r.



Debiut Jakub Adamski

Urodzony 9 lipca 1999 roku w Rzeszowie, absolwent Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej w ZSM nr 1 im. Karola Szymanowskiego w Rzeszowie (2018). Od 2011 roku aktor i muzyk w Teatrze Przedmieście. Od lipca 2013 roku akordeonista i współzałożyciel zespołu muzycznego Reisha. Studiuje muzykologię na KUL.

EGZAMIN Z ISTNIENIA

(fragment dramatu)

AKT PIERWSZY

„Śmierć nie jest tak straszna, jak nam się wszystkim wydaje”

Osoby:

AKTOR

ŚMIERĆ

FRIEDRICH NIETZSCHE

BÓG

1. Pusta nieoświetlona scena. Nagle strumień światła z pojedynczego reflektora zaznacza miejsce, w którym za moment pojawi się Aktor. Aktor – zgodnie z zapowiedzią – wchodzi w oświetlony fragment sceny; stoi przez chwilę i patrzy w nieoświetloną czerną publikę, po czym schodzi z elegancją. Światło gaśnie. Mija znów chwila – oświetlone wcześniej miejsce znów jest widoczne. Aktor wchodzi w świetlisty fragment, tym razem z drabiną. Pewnym, aczkolwiek cierpliwym krokiem zmierza na samą górę drewnianej konstrukcji. Wreszcie przemawia.

AKTOR: Ach! Czymże jest śmierć?... Pustką, nicością, światłością, zbawieniem? A może wszystkim i niczym? Ha! To stan, w którym nikt nie pyta o pochodzenie, wyrzuty sumienia, przebytą drogę tu, na Ziemi! Jakaż to rozkosz wiedzieć, że niczego się wtedy nie musi!

Nagle wchodzi Friedrich Nietzsche. Oświetla się fragment sceny, w które to miejsce zmierza drugi bohater wydarzeń.

FRIEDRICH NIETZSCHE: Wypraszam sobie!

AKTOR: Nietzsche?

FRIEDRICH NIETZSCHE: Tak! To ja! Sam Friedrich Nietzsche we własnej osobie!

AKTOR: Przecież ty... Nie żyjesz! To znaczy... ech... Jesteś martwy!

FRIEDRICH NIETZSCHE: Młody człowieku, skoro nic nie wiesz o życiu, tym bardziej nie wypada ci się wypowiadać na temat śmierci. Jesteś unter aniżeli uber! Ha!

AKTOR: Co takiego?

FRIEDRICH NIETZSCHE: Powiem jedno: śmierć nie jest tak straszna, jak nam się wszystkim wydaje.

Nietzsche schodzi ze sceny. Światło jego miejsca gaśnie, przepada w Niepamięć.

2. Aktor poddenerwowany schodzi z drabiny, po czym chowa przedmiot za kurtynę.

AKTOR: Czemuś tu nie rozumiem. Czymkolwiek śmierć by nie była, zawsze wydawało mi się to doświadczenie powiązane z bólem, cierpieniem, lękiem... Tak, teraz już wiem, że nigdy nie myślałem o niej w samych superlatywach. Dlatego dziwi mnie, co powiedział Friedrich: śmierć nie jest tak straszna, jak nam się wszystkim wydaje?

Wchodzi Śmierć.

ŚMIERĆ: Właśnie tak!

Wchodzi Bóg.

BÓG: Właśnie tak!

Śmierć i Bóg po krótkim czasie patrzenia sobie w oczy schodzą ze sceny w tym samym kierunku.

BÓG, ŚMIERĆ: Właśnie tak!



Jerzy Janusz Fąfara

Poeta, prozaik, scenarzysta, wydawca, członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Autor wielu nagradzanych słuchowisk, prezentowanych na antenach radiowych w całym kraju. Jest autorem 13 książek, m.in. *18 – znaczy życie. Rzecz o Józefie Szajnie*, *Pomruk* – o niezwyklej historii profesora Franciszka Chrapkiewicza-Chapeville'a.

Żal

Zawsze jest mi żal stłuczonej filiżanki
Może dlatego
że tak często dotykały jej usta kogoś
kogo kochałem.

Wspólnota wulkanów

Najwspanialsze wulkany powstawały nad Wisłokiem – rzeką wędrującą przez miasto na wylot jak igła z nicią przez palec i płótno lnianej makatki nad kran by oszukać Bożym pozdrowieniem siebie i pogańską wodę płynącą z kranu. Wulkany były nieduże. A przecież tak wielkie, że nikt z nas nie potrafiłby się na nie wspiąć. Wiaderko piasku, czasem dwa, gdy budowaliśmy „Fuji”. Przecież wielkość i tak nie zależy od tego ile waży wiadro, a od tego gdzie wzrok umieścisz. Janek Zemelke – na każdym podwórku świata jest ktoś taki – pierwszy to wymyślił, włożył do środka gazetę, i podpalił od dołu. Pochylaliśmy głowy nie dla uznania pomysłowości, a dla wulkanu, by podnieść go wysoko w niebo. Góra w pierw dymiała, później strzelała ogniem. Bóg był nad nami, a my byliśmy Bogiem, Wulkan wulkanem, a reszta w nas.

Minęło prawie czterdzieści lat, przeczytałem u Roberto Salvadori:
To wspaniale budować o zachodzie wulkany na piasku.
Kiedy jest gotowy,
zapalam zwitek gazety, który wetknąłem do środka.
Z góry bucha ogień i dym. Szkoda tylko, że trwa to tak krótko.

A mówiłem, że ktoś taki jak Janek Zemelke jest na każdym podwórku świata. Wulkany budowane z piasku na plażach oceanów, mórzu, rzek, piaskownic są wieczne, mimo że trwają tak krótko jak lot świętojańskiego robaczka w lipcową noc. Czasem pieką pod powiekami, mimo że wiatr już nie zdmuchuje z ich stoków ziaren.

100 lat Związku Literatów Polskich – członkowie rzeszowskiego oddziału

Małgorzata Żurecka



Poetka, autorka sześciu tomików wierszy. Obecna prezes rzeszowskiego oddziału Związku Literatów Polskich, należy też do Unii Poetyckiej Wojciecha Siemiona. Laureatka konkursów poetyckich i nagrody Złotego Pióra.

Nie potrzeba krat

rozmowy podsłuchiwane
maile kopiowane
pogawędki nagrywane
kroki obserwowane
nie potrzeba krat
by stać się więźniem

wspinamy się na dachy
pamięci a potem staczamy
po zmrzałych
dachówkach wspomnień

dźwięk sygnaturki
draży tunele w
świętym milczeniu
lampa serca
trwa na straży
nie jest
wieczna

echa kroków
przez korytarze
pustych słów
trwożą
bo przecież
z pustego
nie należesz

pożegnanie

nic nie pomoże
moje wpatrywanie
w horyzont
coraz słabiej
słyszę twoje
oddalające się
słowa



Anatol Diaczyński

Urodził się 19 listopada 1951 r. w rodzinie polskich zesłańców we wsi Zielony Gaj w północnym Kazachstanie. Od 1995 r. mieszka w Polsce, w Stalowej Woli. Prozaik. Wydał 10 książek w językach polskim, rosyjskim i ukraińskim.

TRZY GARŚCI SREBRA I MIEDZI

(fragment ze zbioru nowel *Tętent koni przez wieki*)

Po kilkudniowym obozowaniu w Jeziornym pod Warszawą pan marszałek Zebrzydowski ze starszą konfederacką doszli do wniosku, że z siedziby króla z Krakowa nie przyjdzie nic nowego ani rozstrzygającego. [...]

Nieliczni zwolennicy negocjacji z królem dowodzili, że w silnym królestwie powinna być silna, stanowcza władza królewska, której mocną podporą byłaby jedyna prawdziwa wiara. Chodziło tu oczywiście o rzymski katolicyzm.

– To, co teraz, a i nie tylko teraz, w sejmie się dzieje, to bezhołowie, bezrząd! – krzykali oni.

Z drugiej strony znany teolog regalista, zwolennik nowego króla katolika, ojciec Piotr Skarga, oświadczył:

– Tę waszą „żrenicę złotej wolności” – wolną króla elekcyjną, nad królem sejmowy dozór w ogóle trzeba znieść. Znieść i wprowadzić w Polsce dziedziczość króla! I żadnej religijnej reformacji, bo to zaraza i zguba, jedności rozbicie!

Druga strona z kolei dowodziła, potrząsając kopiami starych przywilejów i wałąc pięściami w stół, że to, co u innych dobre, to wcale w Rzeczypospolitej niedogodne, nawet szkodliwe.

– Może gdzieś indziej innym dobrze w ryzach, pod batogiem! – wrzeszczał jakiś tęgi szlachcic z wyraźnym litewskim akcentem. – Ale my mamy swoje od przodków obyczaje, swoje prawa, swoje sejmowe konstytucje dźierzym! [...] Dziedziczny monarcha – wcale to nie najlepsze, co może być. Weźmiemy na przykład Moskwę. Co tam się dzieje? Wygasła tam Rurykowiczów dynastia i wszystko w rozsypce, koniec władzy! Smuta Wielikaja!

– Nie trzeba nam Moskwy jako przykładu stawić – wołali inni. – To my tam teraz swoją carycę Marynę na stolcu posadzili. I będziemy ją tam mieli, czy kto tego chce w Moskwie, czy nie!

– Wybory elekcyjne – to jest wolności grunt – poparli ich, występując jeden po drugim zażarci Skargi przeciwnicy, starosta Stadnicki i książę podczaszy Radziwiłł. – Szlachta sama rozumu ma tyle, by mądrze monarchę wybrać. A w czasie biedy krajowej, wroga najazdu, sama obroni króla i Rzeczypospolitą naszej ziemi. Mało będzie komputerowego wojska i kwarcianych, pospolite ruszenie zwołamy. Tak było i jest od czasów Mieszka Pierwszego. Dla tej przyczyny ścieli się Rzeczpospolita niemal od morza do morza. I nie ma co tu zmieniać!



Jerzy Stefan Nawrocki

Urodził się 4 września 1941 r., od 1945 mieszka w Rzeszowie. Prozaik, członek ZLP, dziennikarz, zajmuje się malarstwem i grafiką. Autor ośmiu książek prozatorskich i popularnonaukowych.

ZAMĘT

(fragment prozy)

Na wargach, na policzku czuję pustynny pył. Ścieżka prowadzi w dół pośród piargowych usypisk. Schodzę sam. Inni ciekawi znaleźli się na dole przede mną. Niektórzy wracają do domów, lecz wielu pozostało w większych i mniejszych grupach, rozmawiają. Gestykują! Między nimi triarii. Najstarszy funkcją oficer przygląda się wszystkiemu z dużego głazu, rzymski porządek i ład. Oficer ma twarz pociągłą, zimną, bez wyrazu. Niemał martwą. Oczy obojętne, lodowate, nie zgadnąć, co myśli o tłumie. A jednak jest całkiem przejrzysty. Ten kącik ust, jeden ich kącik, gdy

wciąż sztywno wyprostowany mówi coś dziesiątnikowi. Ten kącik jest pełen drwiny, której nie myśli wyjawiać. Drwina i pełna pogardy, zacięta, bezwzględna w czynieniu dusza.

Okrążyłem to trio i mijam grupy tubylców, pełen dla nich współczucia. Straszny człowiek. Oby nigdy nie został namiestnikiem... Obejrzałem się w jego kierunku i wówczas zobaczyłem, jak do oficera przypada konny posłaniec z gałązką oliwną w rękę, jak zeskakuje z rumaka i natychmiast przykłęka, pochyla głowę, a w wyciągniętej w górę ku oficerowi dłoni trzyma pergaminowy zwój z wiszącą na sznurku pieczęcią. Przystanąłem. Oficer rozkręcił rulon i czytał. I naraz stało się coś, co nie tylko mnie, ale i cały tłum wprawilo w tak wielkie zdumienie, iż wokół zapadło głuche milczenie, zakłócone tylko wrzaskami kruków u szczytu, pełnych nadziei na ucztę. Oficer zstąpił z głazu. Po jego twarzy rozlał się uśmiech i z uniesionym ramieniem, dzierżąc nad palcami pergamin wkroczył łaskawie między tkwiący bez ruchu tłum. Przystanął, a ludzie natychmiast, cisnąc się na wyprzedki, otoczyli go kręgiem.

Rzymianin zaś zawołał głośno, nie przywołując herolda: – Pan całego świata, wielki Cezar – oby żył wiecznie! – oznajmia wam przez namiestnika tego kraju łaskę, jaką i ja, wierny mu i kochający jego wolę i was wasz pretor, ogłaszam własnymi ustami: – Przybędzie do nas jesienią, by czynić sprawiedliwość: nagradzać każdego wiernego, a karać tych, którzy nam, wiernym poddanym cezara przeszkadzają, czyniąc zło, jako i ci pozostali już na zawsze na górze! Radujcie się. Wracajcie w pokój do domów i rozgłaszajcie wieść szczęsną wszem kochającym Cezara, zaś moja łaska dla was będzie wielka i pewna. W tej chwili słońce zamglili jakiś, nie wiadomo skąd objawiony, bielutki niczym młody baranek obłok.

100 lat Związku Literatów Polskich – członkowie rzeszowskiego oddziału



Mirosław Welz

Poeta, autor kilkunastu tomików wierszy. Jego wiersze zamieszczono w licznych antologiach. Píše również teksty piosenek. Były prezes rzeszowskiego oddziału ZLP.

Piszę do ciebie

nie przywiążuj się do władzy
masz ją na chwilę jak hiena kość antylopy
pod leniwym spojrzaniem lwa

nie przywiążuj się do tego kim jesteś
kimkolwiek jesteś
bóg jeden wie kim będziesz jutro

nie przywiążuj się do rzeczy
nie zatrzymasz ich
jak piasku i wody w dłoniach

nie przywiążuj się do ludzi
tylko ich kochaj

Rajski ogród

Pamięci ks. prof. Józefa Tischnera

szkoda Panie
że nie uczyniłeś mnie
zwierzęciem

bez wolnej woli
łatwiej jest latać
wracać do gniazda

jestem jak one
sarna wilk sowa
chciałbym być nimi

w zamian mieć duszę
taką jak człowiek
lecz bardziej ludzką

Anita Róg-Bindacz



Poetka, członkini ZLP i Mieleckiego Towarzystwa Literackiego. Studentka romanistyki UMCS w Lublinie. Laureatka konkursów literackich dla młodzieży. Autorka 5 tomików poetyckich.

Skamieliny

dajesz mi milion powodów
aby odejść
właśnie dlatego wciąż tu jestem

twój cień jest już
za drzwiami
a ja cię jeszcze trzymam

za słowo
wymilczam ci prosto w oczy
zostań

O czytaniu książek

odwracasz głowę na taką stronę
bym nie mogła z niej nic
odczytać

moje serce nie jest ulepione
na moduł
dzisiejszych czasów

próbujesz mnie wypalić
ale języki ognia tylko
zasuszają i tak skruszoną glinę

tak więc włożysz mnie
jak jesiennego liścia
między swoje stronicę

Agata Linek-Jaroszak



Poetka, prozautorka, animatorka kultury. Absolwentka czterech fakultetów na UJ w Krakowie. Członek ZLP od 2016, sekretarz rzeszowskiego oddziału. Wydała cztery tomy poezji. Jej wiersze były tłumaczone na angielski, rosyjski i słowacki. Mieszka i tworzy w Stalowej Woli.

Ona i On

*„Kochać to przede wszystkim
słuchać w ciszy”*

A. de Saint-Exupéry

Ona
pojawiała się znikąd
dokarmiła niczym małe zwierzątko
pokochała i dbała
przez lata
jeszcze bardziej w te dni
gdy za etykietą szklanej butelki
rozplywały się błękitne oczy
wołające o pomoc

On
pokochał od razu
był przy niej często
lecz znikał czasami
utopiony we własnych niedorzecznościach
gdy wracał nie okazywał słabości
grał gladiatora wierząc że
przeszłość przestanie istnieć

gdy jej zabrakło
zostały mu jedynie łzy
a gdy zrozumiał
kim dla niego była
przyszła

Ona i On. Postscriptum

Ona
siedzi w sukience na ławce w parku
wabi uśmiechem żonkila
jest
zawsze i wszędzie
przytula i wspiera
na plecach nosi wszystkie codzienne sprawy
a bagaż coraz większy

On
mistrz oczarowań
i obietnic na papierze toaletowym
kiedy kochał to naprawdę
a gdy przychodził szklany sen
nie miał sobie równych
w deptaniu plastelinowych ludzików

a wokół
sześcioro oczu
pełnych „w końcu zrozumie”



Edyta Pietrasz

Poetka młodego pokolenia, autorka sześciu tomików poetyckich. Członkini ZLP od 2010 r. Pochodzi z Baryczki w gminie Niebylec.

Wyznanie

Bolisz mnie ma duszo
wcale nie od grzechów
choć mam je jak każdy.
Palisz mnie
snem poezji
i słowem miłości,
których nikt nie słyszy.
I krwawisz ma duszo,
któż tobie – posprząta
przeklętą
tej ziemi.

Metamorfozy duszy

W przedśionku nieba
splatać brodę Pana Boga
palcami dobrych uczynków,
póki ostry pazur pokusy
nie rozszarpie
błysku istnienia
dobrych aniołów.

A tam

w otchłani tęsknoty
bezradnym płomieniem
rozpalać słomiane słońca nadziei,
póki łagodny szept przebaczenia
nie wytrąci
berła szpetoty
z rąk złych aniołów.

100 lat Związku Literatów Polskich – członkowie rzeszowskiego oddziału

Mieczysław A. Łyp



Poeta, krytyk literacki, edytor, fotografik, aktywny promotor kultury i sztuki Podkarpacia, b. prezes rzeszowskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Autor kilkunastu książek poetyckich. Laureat Złotego Pióra (1992, 2010) i wielu ogólnopolskich konkursów poetyckich.

Zapach tęsknoty

Zapach papierówek
od wuja Władka
– z tego sadu
zanurzonego już w pola
w otchłanne zasy
ale i w bielutkie płatki śniegu
do dzisiejszego dnia
noszę ze sobą

Ten zapach
płynie
i przez kwitnące drzewa
sadu ojca
i przez wszystkie światła
mojego ogrodu
ze złotymi plamami renklod
i przez moje niespokojne sny
z tymi imionami
zapamiętanymi raz na zawsze
i przez moje lęki ukryte
w żytach bżach pociągach
miastach samochodach

Dzisiaj
przyszły do mnie
Sierpniowe Anioły

Przyprowadziły ze sobą
południe w kolorze lipowego miodu
kilka pomarańczowych szepcików nasturcji
zwierzenia lilii rozbudzonych świtem
i tamten zapach lata i papierówek

Mieczysław Mularski



Jest samorodnym poetą chłopskim. Mieszka w Dobrzechowie. Członek ZLP, autor czterech tomików wierszy, publikowany też w antologiach i almanachach. Laureat Złotego Pióra za tomik *Wszechmocne żyto*.

Ballada

już wędnie ptasi śpiew
a moja mama zakwitła w oknie
i żegna mnie konarem mówiąc
w zielone świętki przyjdź
weźmiesz moje słowa umajone
to będzie przedlecie
i będzie spacer wielki
po jabłko testamentu
moja mama słaba mówi:
twój będzie ogródek
ale przynieś mi chleb
z Ojczyzny

Halina Kurek



Poetka, wydała siedem tomów wierszy. Wielokrotna laureatka ogólnopolskich konkursów poetyckich. Uhonowana Złotym Piórem w 2017 r. za całokształt dokonań twórczych. Członkini ZLP.

Jesień

Jesień przyszła punktualnie –
przywdziała suknię lata
hojnie obdarowała
wszelkim dobrem sady i ogrody.

Brzemienne jabłonie

ciężarne śliwy

grusze przy nadziei

z dnia na dzień czekały na rozwiązanie.

Późnym popołudniem
powietrze było gęste od zapachów
z nutką kwaśności rozkładających
się spadów.
Przyciągało to roje os, trzmieli.
Wyścig z czasem trwał w miodowym brzęczeniu.

Pająki natkały siatki pajęczyn,
które rano pokrywały się perlami rosy
i tylko gospodarze nie śpieszyli się
pomni złotych polskich jesieni.

Tadeusz Masłyk



Zajmuje się poezją, plastyką i uprawia publicystykę. Członek ZLP. Wydał 5 tomików poezji.

I nie wiem

myślałem jakby było
za chwilę
za wiele lat
czy Twoje oczy
tak by jeszcze lśniły
myślałem o miejscach
o drogach
o świetle księżycy
na Twoich włosach
o światach
ze wszystkich barw
odkrytych nam
myślałem
jakby było za rok
myślałem pytałem
i nie wiem

Krzysztof Lechowicz



Pseudonim literacki: brat Wenanty Krzysztof, członek ZLP. Autor kilkunastu tomików poetyckich. Duszpasterz w diecezji sandomierskiej, proboszcz w parafii w Strzegomiu k. Staszowa.

Drzewo

Nie musisz od razu
być maratończykiem
czasem zwycięstwem
jest ten codzienny
mały krok do
mały krok od

Nie musisz od razu
wszystkiego wiedzieć
czasem wystarczy
powoli wytrwale po trochu
uczyć się ciepła i blasku
praw wzrostu

Aż ktoś przystanie
głowę uniesie
– Kiedy to drzewo urosło?

Marek Petrykowski



Ur. w 1965 roku w Krośnie, tam mieszka i pracuje. Laureat konkursów ogólnokrajowych i międzynarodowych. Jego wiersze drukowane były w pokonkursowych almanachach w Polsce i za granicą (tłumaczone na język słowacki i ukraiński). Autor trzech zbiorów wierszy. Członek ZLP.

W ogrodzie Światła

Wackowi Turkowi

Rzeczywistość dziwniejsza od fikcji.
Cisza bardziej niż oddech kamienia,
a przecież rozmawiasz z kwiatami.
One oczekują słów i dotyku.

Lubią, gdy patrzysz. Jednak
zwracają się ku słońcu,
gdy milcząc rodzą nowe płatki.
Cisza też potrafi żyć...

Jest taka noc, której nie rozpoznasz,
ciemniejsza od szkicu karbonem.
W niej diament, co ją rozcina,
bo w ciemności zrodziło się Światło...

100 lat Związku Literatów Polskich – członkowie rzeszowskiego oddziału

Ryszard Mścisz



Poeta, krytyk literacki, satyryk, regionalista i publicysta, polonista w Zespole Szkół w Jeżowem. Autor siedmiu tomików wierszy oraz dwóch zbiorów tekstów satyrycznych. Członek ZLP. Laureat licznych nagród, w tym Złotego Pióra.

Po kres

im słabszy oddech człowieka tym więcej świeczek do zdmuchnięcia
za duży staż najwięcej płacą
bo cóż większego niż śmierć czeka

moja gwiazda stróż porozumiewawczo mruga
rozumiemy się bo nie ma słów
jest jeszcze trochę obrotów ziemi dla mnie

ja czy mój pies który pierwszy przestanie się cieszyć na spotkanie
i ile nam jeszcze tej radości dano
spieszmy się ją okazywać

wszystko co nie do przeczytania
nie do napisania jest gdzieś obok
mogę zrobić ile się da ile On pozwoli
to całkiem wiele

Bogusław Kotula



Prozaik, regionalista, socjolog, autor kilkunastu książek i setek artykułów. Stały autor publikacji o tamtym Rzeszowie w naszym miesięczniku. Członek ZLP, były wiceprezes rzeszowskiego oddziału. Urodził się 6 sierpnia 1938 r.

Jak to po wojence ładnie... (fragment książki)

Wincenty K. bardzo starym chłopem był. Dogorywał w pełni sił w swojej rozwalającej się lasowiackiej chałupie w towarzystwie trzech starych dębów. Z polecenia ojca pojechał odwiedzić pewnego emerytowanego księdza proboszcza, którego parafia składała się z modrzewiowego kościółka, trzech piaszczystych, lasowiackich wiosieczek, wartkiego, czystego leśnego strumyczka i małej plebanii. Od przystanku PKS do siedziby wielebnego jegomościa było dobre cztery kilometry. Stary proboszcz miał jednego przyjaciela, kolorowego dudka, ale nie tego ze smrodliwych. Wypili po herbacie z rumianku i po dwa kielonki naleweczki z wiśni. Ksiądz poradził mu, by wracał inną drogą, bliższą, ale bardziej piaszczystą.

Po kwadransie z dobrym okładem wyszedł wreszcie z rzadkiego, sosnowego lasu. Gorąco było jak w martenie. Ani krzty wiatru. Zdjął koszulę i zzuł trampki. Stopy paliły jak dawne żelazko na duszę. Powoli doszedł do ciemnego, nieogrodzonego, zdziczałego śliwkowego sadu. Poczuł mocne parcie na międzychód. Rozglądnął się. Wracająca ulga. Nagle usłyszał skrzeczący, sepleniący męski głos.

– Ale cię chłopaku spienio, lanie jak u kunia! – Za śliwkowymi szczapami na grubym pniu siedziała jakaś chłopska mizerota.

– O, przepraszam pana, ale rzeczywiście przyparło mnie. Przepraszam!

– Nic to, nic to! – Przez parę sekund zastanawiał się, podejść do chłopyny czy nie? – A gdzie to Pan Bóg prowadzi przez te piachy? – Zrozumiał, że to jakaś zachęta.

– Na autobusowy przystanek idę, to gdzieś tu niedaleko?

– No, dyć tak. Dla jednych daleko, dla innych nie. – Wyschnięty na wiór chłopina mógł mieć lat... Ubrany był w wypłowiałą flanelową koszulę, czarne jak święta ziemia długie, obwisłe gacie i oberwany kapelusz. Małe, pomarszczone, zaczerwiałe dłonie przypominały wypracowane grabki. Przymrużone, wyblakłe oczy ciągle łzaawiły. – Siadaj, chłopaku, oz ty, z ty strony.

– A nawet chwilę spocznię. Pali dzisiaj jak na Saharze! – Popatrzył na zegarek. – Z pół godzinki mogę posiedzieć. – A pan tu sam mieszka?

Stary oglądnął się za siebie. – Som, som tu siedze. Chałupa trochę się wali, ale do moi śmierci pewnie wytrzymo. Miałem kiedyś swoje babe, znaczy się ślubno, kościelno. Była przy nadziei, jak pobodła ją naszo Niwka. Tako spokojno, cholera, była jak niektóry szukać. Co jo uchłalo? Na śmierć moją Stefkę pobodła, na śmierć! Jo wim, może to i kara bożo?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Popatrzył na zegarek. – O, na mnie już pora, za pół godzinki autobus.

– Zdążysz chłopok. Tyndy za Krupami dużo bliży, nie trzeba koło kapliczki. Pude kawolek z tobo.



Jerzy Sułkowicz

Prozaik. Mieszka i tworzy w Boguchwale. Wydał dwie powieści *Znikające złudzenie* (2000) i jej ciąg dalszy pt. *Karmatmaka* (2003).

KARMATMAKA (fragment powieści)

Zmącone myśli przerwał spazmatyczny kaszel leżącej przy ścianie kobiety. Zerwali się na równe nogi. Nie była im obojętna. Dziadek próbował utrzymać ją w pozycji leżącej. Wyrwała się, krzyczała z bólu. Widziałem jej rany na piersi wylaniającej się spod koca. Płakała. Stałem beczynnym obok, nie wiedząc, czy mogę się na coś przydać. Wolałem na wszelki wypadek nie podejmować żadnych kroków. Carl ją uspokajał, a Dziadek robił okłady szmatą nasączoną wodą, podaną przez chłopca, który zdawał się być niezmiernie przejęty jej stanem. Trwało to jakąś chwilę. Wreszcie, po kilku minutach zamilkła... Zrozumiałem, że na zawsze.

Otoczyli ją wszyscy. Byli bezsilni. Dziadek pocałował ją w czoło. Twarz kobiety, przepełniona ostatnim tchnieniem życia, zdawała się być teraz spokojna, pozbawiona ziemskich zmartwień. Uwidaczniała w uśmiechu radość z odzyskania upragnionej wolności jej umykającej z wolna duszy. Nakryli ją kocem. Przez pomieszczenie przemknął wiatr. Zjawił się nagle, jakby znikąd. Przeniknął mnie swoim delikatnym chłodem.

Chwilę później znowu było spokojnie. Do czasu. Chłopiec przestraszył się. Nie mógł sobie znaleźć miejsca. Miotał się nerwowo, aż wpadł w histerię. Skomlał jak pies, wiał się przerażony, ocierając twarz o ścianę, jakby chciał wejść w nią i zniknąć na zawsze, wyrwać się ze świata, którego jeszcze nie rozumiał, a który teraz przeraził go śmiertelnie. James podbiegł do niego i objął tak mocno, przyciskając do piersi, aż tamten jęknął. Płakał nadal, opierając się o jego ramię. Uspokajał się. Patrzyłem na to ze wzruszeniem. Ból zacisnął mi gardło. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Inni też milczeli. Po kilku minutach odezwał się Carl:

– Nie możemy jej tu długo trzymać. Trzeba spalić ciało.

Na dźwięk tych słów chłopiec zaczął się znowu szarpać. Po chwili jednak uspokoił się i doszedł do siebie.

GŁOS JAK WINO Z AMFORY

Rozmowa z Kazimierzem Pustelakiem, jednym z najwybitniejszych artystów powojennej polskiej sceny operowej



Zofia Stopińska

Maestro Kazimierz Pustelak jest jednym z najwybitniejszych artystów powojennej polskiej sceny operowej, o którym Jarosław Iwaszkiewicz pisał, że: „Głos mu się leje jak wino z amfory”. Przez długie lata zachwycał publiczność polskich i światowych scen operowych oraz filharmonicznych niezwykłym głosem o pięknej barwie, cudownej lekkości i doskonałości również w wysokim rejestrze, i znakomitej technice. Publiczność i krytycy muzyczni podziwiali artystę także za elegancję, kulturę i wycucie stylów.

❑ **Rozmawiamy w roku Pana 90. urodzin. Proszę przyjąć ode mnie i za moim pośrednictwem od mieszkańców Podkarpacia najlepsze życzenia.**

– Bardzo dziękuję, cieszę się, że płyną one z moich rodzinnych stron, bo urodziłem się w Nowej Wsi niedaleko Rzeszowa. W mojej rodzinie nie było muzyków, ale ja bardzo lubiłem śpiewać. I marzyłem jako dziecko o tym, aby pracować w takim teatrze, w którym się nie mówi, tylko się śpiewa, chociaż nie wiedziałem, że taki teatr istnieje.

❑ **Marzył Pan o śpiewie, ale ukończył Pan studia na Wydziale Rolnym Uniwersytetu Jagiellońskiego i jako inżynier rolnik pracował Pan w Wojewódzkiej Radzie Narodowej w Rzeszowie.**

– Pochodziłem ze środowiska wiejskiego i postanowiłem wybrać bardziej praktyczny zawód, ale równocześnie uczyłem się śpiewu prywatnie u pana profesora Czesława Zaremby. Był wspaniałym nauczycielem i po dwóch latach nauki byłem już ukierunkowanym śpiewakiem. Wiele pomógł mi także w doskonaleniu sztuki śpiewaczej pan Józef Gaczyński.

❑ **Debiutował Maestro w Krakowie, ale nie w operze, tylko w operetce i śpiewał Pan w *Krainie uśmiechu* u boku samej Iwony Borowickiej.**

– Owszem, rozpoczynałem w Krakowie, ale pojechałem tam na zaproszenie Jerzego Gerta, który kierował wówczas Orkiestrą i Chórem Polskiego Radia w Krakowie, a także był kierownikiem artystycznym Teatru Muzycznego w Krakowie. Po rozmowie miałem próbne nagranie i pamiętam, że śpiewałem wtedy arie z *Rigoletta* i *Straszego dworu*. Mój krótki występ spodobał się i dyrektor Jerzy Gert zaproponował mi pracę. Powiedziałem mu szczerze, że bardziej interesuje mnie teatr operowy niż operetka. Aby mnie przekonać do operetki, dał mi zaproszenie na przedstawienie *Hrabiny Maricy*. Poszedłem na ten spektakl i byłem zachwycony. Iwona Borowicka królowała, była po prostu fenomenalna. Dyrektor Gert zapytał mnie o wrażenia. Odpowiedziałem, że bardzo mi się podobało i jestem gotów podpisać umowę. Zostałem solistą w Teatrze Muzycznym i w Zespole Orkiestry i Chóru Polskiego Radia w Krakowie.

❑ **Mimo marzeń o operze został Pan w krainie operetki dość długo. A jak wyglądał debiut operowy?**



Maestro Kazimierz Pustelak

– W1957 roku otrzymałem propozycję z Teatru Operowego. Spektakle te wystawiane były dwa razy w tygodniu w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie. Propozycję zaśpiewania partii Leńskiego w operze *Eugeniusz Oniegin* Piotra Czajkowskiego otrzymałem... tydzień przed premierą.

❑ **Podjął się Pan bardzo trudnego zadania.**

– To prawda, musiałem szybko wziąć się do roboty, bo oprócz arii są tam trudne ansamble, duety, a do tego prawie od razu musiałem uczestniczyć w próbach scenicznych, ale podczas próby generalnej byłem już dobrze przygotowany. Premiera była nadzwyczaj udana, ukazały się entuzjastyczne recenzje znakomitych znawców sztuki operowej. Mój występ bardzo się spodobał i pisało, że wreszcie mamy tenora lirycznego.

❑ **Wiem, że przez pewien czas przebywał Pan na stypendium we Włoszech.**

– Owszem, trafiłem tam w drodze konkursu. Oceniało nas bardzo duże jury złożone z profesorów ze wszystkich uczelni i wszyscy popierali swoich uczniów. Byłem jedynym uczestnikiem, który nie miał swojego pedagoga w jury, ale wygrałem ten konkurs. I na stypendium w centrum doskonalenia śpiewaków operowych La Scali przez dziewięć miesięcy nauczyłem się dużo. Miałem zajęcia ze znakomitymi pedagogami. Studiowałem m.in. pod kierunkiem maestro Frigerio, jednego z największych włoskich znawców sceny

i wokalistyki, a korepetytorem był bardzo życzliwy starszy pan, który przez wiele lat pracował z Arturo Toscaninim.

❑ **Po powrocie do kraju pożegnał się Pan z Krakowem i przeniósł do Warszawy.**

– Po powrocie z Mediolanu poszedłem do Opery Warszawskiej i tam dowiedziałem się, że pan Jerzy Semkow już nie jest dyrektorem, a jego obowiązki pełni dyrektor z Opery Łódzkiej, który z kolei powiedział mi, że jest tylko na krótkim zastępstwie i obsada nowego sezonu zostanie zaplanowana dopiero po powołaniu nowego dyrektora. Szczerze mówiąc, ucieszyłem się, że nie będę się musiał przenosić do Warszawy, ale tak się nie stało. Na dyrektora w Warszawie został powołany Bohdan Wodiczko, który wkrótce poprosił mnie o szybki przyjazd na rozmowę, bo już planował zespół na otwarcie Teatru Wielkiego. Pojechałem, dyrektor Wodiczko zaproponował mi etat solisty i od razu mieszkanie tuż obok teatru, w którym mieszkam do dziś.

❑ **Występował Maestro prawie we wszystkich krajach Europy, także w Azji i Ameryce. Czy to były wyjazdy z Teatrem Wielkim, czy był Pan angażowany przez miejscowe teatry operowe?**

– Wtedy nas tak łatwo nie puszczali indywidualnie za granicę. Można powiedzieć, że byliśmy trochę zamknięci w kraju i może dlatego w polskich teatrach operowych był tak wysoki poziom. Występowałem na trzech kontynentach, wyjeżdżając z polskimi orkiestrami filharmonicznymi albo z Operą Warszawską. Można powiedzieć, że śpiewałem w całej Europie. Byłem w wielu bardzo ciekawych krajach na świecie.

❑ **Dosyć rzadko przyjeżdżał Pan z koncertami w rodzinne strony.**

– Ma pani trochę racji, ale zdarzało mi się występować także w Rzeszowie. Na przykład śpiewałem podczas pierwszego, bardzo uroczystego koncertu w nowej siedzibie Orkiestry Filharmonii Rzeszowskiej im. Artura Malawskiego. Śpiewałem też wcześniej kilka razy, kiedy orkiestra miała swoją siedzibę w budynku Wojewódzkiego Domu Kultury. Rzeszów nigdy nie był dla mnie na marginesie.

❑ **Od 1971 roku zaczął Pan dzielić się swoją wiedzą i doświadczeniem ze studentami Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie.**

– Zacząłem uczyć, bo od początku interesowało mnie, jakie są możliwości rozwijania głosu.

Praca pedagogiczna dawała mi wielką satysfakcję. Przez ostatnie kilkanaście lat byłem nawet dziekanem Wydziału Wokalno-Aktorskiego, a pełnienie tej funkcji wymagało dodatkowej energii i czasu.

❑ Wielokrotnie spotykałam śpiewaków, którzy uczyli się w klasie profesora Kazimierza Puśtelaka, a kilku z nich pochodzi z Podkarpacia i wszyscy mówią z dumą, że bardzo dużo się u Pana nauczyli i wiele Panu zawdzięczają.

– Miałem kilku studentów z Podkarpacia i zawsze znajdowali u mnie wsparcie, a do tego byli zdolni. Tak było w przypadku braci Cieślów. Najpierw studiował u mnie Ryszard Cieśla (baryton), a później Robert Cieśla (tenor). Obaj śpiewają i uczą. Aktualnie są już profesorami Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie. Potem uczyłem dwóch braci Gierlachów, którzy śpiewają z powodzeniem w kraju i za granicą. Miałem jeszcze kilku bardzo zdolnych, ale pracowali o wiele mniej, a „bez pracy nie ma kołaczy”.

❑ Jest Pan tenorem lirycznym, ale śpiewał Pan także partie dramatyczne.

– Jak zacząłem występować na estradach filharmonicznych, to gdy śpiewałem w Filharmonii Rzeszowskiej, nawet muzycy się zakładali, czy będę tenorem, czy barytonem. Miałem taką skalę głosu, że z powodzeniem mogłem śpiewać partie

barytonowe, bo schodziłem bardzo łatwo w dół, aż do A. Rzadko się zdarza, aby tenor mógł śpiewać tak nisko, ale mogłem śpiewać także bez trudu wysokie dźwięki i chciałem być tenorem.

❑ Pana wysokie C podziwiane było nie tylko przez publiczność, ale i przez wielu śpiewaków, również tenorów.

– Wielokrotnie koledzy zadawali mi pytanie: Skąd masz to wysokie C? Z kim nad nim pracowałeś? Uśmiechałem się tylko, bo po przyjeździe ze stypendium w La Scali nie pracowałem już z żadnym pedagogiem. Wszystkie partie opracowywałem samodzielnie i do wszystkiego musiałem dojść sam. To miało olbrzymią wartość.

❑ Pana życie i działalność artystyczna wypełniona była ciężką pracą oraz bardzo ciekawymi przeżyciami. Czy nie zastanawiał się Pan, aby je zapisać albo aby ktoś napisał o panu książkę?

– Nie, chociaż są nawet tacy, którzy sami piszą wspomnienia. Ja po pierwsze nie mogę pisać, bo nie widzę. Jestem już prawie niewidomy, a oprócz tego zostaną po mnie nagrania. Jest ich bardzo dużo i jeśli ktoś zechce ich posłuchać, to może to zrobić.

❑ Nagrania są fantastyczne pod każdym względem, pomimo że niektóre zostały zarejestrowa-

ne kilkadziesiąt lat temu i większość z nich podczas koncertów czy spektakli.

– Owszem, większość moich nagrań została zapisana podczas koncertów. Nie miałem tremy przed mikrofonami i osobami, które obsługiwały cały sprzęt, gdyż wszyscy byli bardzo przychylni nastawieni do wykonawców. Zawsze miałem bardzo dobre relacje z realizatorami.

❑ Pana córka czasami udostępnia niektóre nagrania w Internecie. Słucham ich z ogromną przyjemnością i podziwem.

– Odzew jest olbrzymi. Za każdym razem jest po kilkadziesiąt tysięcy wejść. Ze wszystkich teatrów polskich i zagranicznych. Mamy dowody, że słuchali nas artyści z La Scali i z Metropolitan Opera w Nowym Jorku, z Hiszpanii, a nawet z Australii. Często piszą do mnie dzieci, a nawet wnuki solistów i dyrygentów, z którymi współpracowałem. Dzwonią do mnie reżyserzy, byli dyrektorzy teatrów operowych, aby mi pogratulować, porozmawiać o współpracy i wspominać dawne czasy.

❑ Czuje się Pan z pewnością spełnionym śpiewakiem i pedagogiem.

– Mogę to potwierdzić, ponieważ zrobiłem w życiu tyle, ile mogłem, śpiewając przez kilkadziesiąt lat.

■ Zofia STOPIŃSKA

BEETHOVEN W DŻINSACH

İść czy nie İść na takie kompromisy?



Jerzy Dynia

Zwyczajowo nowy sezon koncertowy w Filharmonii Podkarpackiej w Rzeszowie rozpoczął się na początku października. Naczelną dyrektorką filharmonii prof. Marta Wierzbieniec wraz ze sztabem artystycznym ustaliła odpowiednio wcześniej, że tegoroczna inauguracja odbędzie się w drugi piątek, czyli 9 października. Wszystko zostało zapięte na ostatni guzik. Wiadomo było, jaki będzie repertuar, kto będzie dyrygował, kto będzie solistą. Multum (?) sprzedanych biletów. Jednego tylko nie można było przewidzieć: jaki numer wytnie pandemia.

I rzeczywiście, niemal w ostatniej chwili, tuż przed koncertem, ogłoszone zostało wszem wobec, że Rzeszów znalazł się w żółtej strefie. Konsternacja, bo przy wprowadzonym reżimie dotyczącym zachowania odległości pomiędzy siedzącymi na widowni osobami okazało się, że sprzedanych na ten moment biletów jest o sześćdziesiąt za dużo. Co robić, jeżeli nadwyżka melomanów nie zechce zwrócić biletów? Jednym ze sposobów stało się, po uzgodnieniu z melomanami i wykonawcami – zaproszenie na widownię części widzów na próbę generalną, rozpoczynającą się też w piątek, ale o godzinie 10.00.

Jest piątek, godzina 10.00, na widowni liczącej ponad 700 miejsc zaproszeni widzowie,



Fot. Ryszard Zatorski

w tym dwóch dziennikarzy, stałych bywalców rzeszowskich koncertów, a ponadto zainstalowanych kilka kamer Telewizji Rzeszów, które mają się przymierzyć do wieczornej, o 19.00, transmisji na żywo. Na scenę wychodzi orkiestra, nie we frakach i wizytowych sukienkach, a w cywilnych ciuchach – w dżinsach, różnokolorowych koszulach... Zwyczajowe strojenie pod dyktando koncertmistrza Roberta Naćiszewskiego. Wchodzi na scenę maestro Massimiliano Caldi, też po cywilnemu, w białej koszuli. I wreszcie przychodzi kolej na solistę koncertu, którym jest od lat znany, znakomity skrzypek Konstanty Andrzej Kulka, też nie we fraku.

Ten koncert odbywa się pod znakiem Ludwiga van Beethovena. Będzie krótszy, z uwagi na antenowe miary czasowe programu telewizyjnego. W I części *Koncert skrzypcowy D-dur*, nad którym kompozytor dość długo pracował, odchodząc w nim czasem od formalnej budowy I części z lirycznym głównym tematem. Przy-

chodzi II część koncertu. Rozpoczyna orkiestra, ale po chwili dyrygent przerywa. Ponowny start i znów przerwanie, uwagi dyrygenta, nanoszenie uwag na nuty, ale zwyczajnym ołówkiem, żeby nie zniszczyć oryginału. I teraz już wykonanie trwa do końca utworu. Na widowni nieśmiało oklaski...

Po przerwie na pulpitych orkiestry nuty słynnej *V Symfonii c-moll*. Od pierwszych szkiców dzieła do prawykonania upłynęło blisko 8 lat. Jest w nim dramatyzm, patos, także uczuciowość, ale i formalna przejrzystość. Zaledwie na czterech dźwiękach początkowego motywu kompozytor zbudował całą pierwszą część. Dźwiękowy obraz tego dzieła w wykonaniu orkiestry kontrastuje brzmieniowo z pierwszym utworem, jakim był *Koncert skrzypcowy*. Orkiestra gra, jakby znała symfonię na pamięć.

Koniec próby-koncertu i czas na refleksje. Jak zabrzmiała orkiestra o godzinie 19.00 w telewizyjnych odbiornikach? Także pytanie: czy to jest to, czego oczekujemy? Czy świadomość przereźdzonej sali, prywatne stroje, brak otoczki towarzyszącej normalnym koncertom nie burzą obrazu całości, takiego, do jakiego przyzwyczajony jest widz?

Z drugiej strony istnieje świadomość heroicznej wręcz walki animatorów życia muzycznego i muzyków orkiestr – zaznaczone walką o przetrwanie bez obniżenia poziomu wykonawczego – do normalnej sytuacji, która w rzeczywistości jest w nieznannej odległości. Parafrazując hamletowsko podobne pytanie – İść czy nie İść na takie kompromisy? – pozostaje bez odpowiedzi.

■ Jerzy DYNIA

SKRZYDLATE SŁOWA

Felietonowe *Słowa na wojnie* Stanisława Gębali



Ryszard Zatorski

Przygotowując tę książkę do druku, gorączkowo poszukiwałem dla niej jakiegoś porywającego zakończenia. Przeczucie podpowiadało mi jednak, żebym się tak nie gorączkował, albowiem owe „skrzydlate słowa” same do mnie w odpowiednim czasie przylecą. I przyleciały – dokładnie w Boże Ciało, 11 czerwca 2020 roku. Przyfrunęły wprost z Jasnej Góry, gdzie w kaplicy Cudownego Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej bp Antoni Długosz wypowiedział te natchnione słowa: „Obecnie dwaj przedstawiciele naszej władzy, wybranej przez większość Polaków, uosabiają charyzmę dwóch ewangelistów. Ewangelista Mateusz premier Morawiecki pochyla się nad egzystencją naszego narodu, by żyło się lepiej. Z kolei ewangelista Łukasz prof. Szumowski jest przedłożeniem czynów Jezusa, troszcząc się o nasze życie i zdrowie. Dziękujemy, Boża Matko, za ich posługę”.

I natychmiast wszystkie słowa złe i niewiarygodne, które władza rzucała nam w twarz w ciągu ostatnich pięciu lat, zniknęły z pamięci, a nasze „zdradzieckie mordy” rozjaśnił uśmiech niewinnego dziecka, któremu wielkodusznie wybaczone krnąbrność.

Tak więc w czasach „wielkiej ofensywy zła” zatryumfowało „samo dobro” w osobie Emerytowanego Zbawcy Narodu, głoszącego dobrą nowinę *vel* „dobrą zmianę”, którą uwiecznił w piśmie nowi ewangelista – noszący imiona

wykluczające jakiegokolwiek podejrzenia o uzurpację – Mateusz i Łukasz.

Proszę mi wybaczyć powyższy przydługi cytat z najnowszej książki prof. Stanisława Gębali, którą zatytułował bojowo *Słowa na wojnie*. Bo w tym cytacie, który jest posłowiem tej publikacji, zatytułowanym *Wniebowzięcie*, niczym w pigułce mamy próbę wysublimowanej sztuki felietonu. Obcujemy z kunsztem wypowiedzi, lekkością wyrażania słowem obserwacji i przekazywania wyobrażeń, które opisują i komentują pewne zjawiska społeczne, polityczne i obyczajowe. Stanisław Gębala jest w tym mistrzem od lat. W tym tomie pomieścił on felietony w większości już publikowane w ostatnich latach w periodykach „Zdanie” i „Śląsk”.

Pisząc o lekkości formułowania wypowiedzi, przypinam sobie od razu, jak tenże autor na początku lat 70. minionego wieku, gdy był naukowo związany etatem z rzeszowską Wyższą Szkołą Pedagogiczną, erudyta, znawca literatury i perfekcjonista w tej dziedzinie, oddawał się przez czas jakiś równoległe zajęciu sekretarza redakcji miesięcznika społeczno-kulturalnego „Profile”. To pod jego okiem szlifowałem swoje pierwsze dziennikarskie plody. I właśnie pewnego razu na stwierdzenie, że ma on dar lekkości i łatwości pisania, S. Gębala z przypisaną mu szczerością odparł, że tak to można odczuwać przy lekturze, bo pisanie felietonów jest porównywalne do treningów tancerzy jazdy figurowej na lodzie, których kunszt podziwiamy podczas występów, nie znając trudu, jaki włożyli



uprzednio, by sprawić satysfakcję obserwatorem tej wprawdzie sportowej, ale tak w gruncie rzeczy dyscyplinie wykwiłtnie artystycznej. Doskonale wiedzą o talencie felietonistycznym Stanisława Gębali ci, którzy pamiętają „Profile”, stworzone przez profesora Stanisława Fryciego, wielkiego humanistę i organizatora zdarzeń kulturalnych i akademickich, pracownika naukowego owej WSP i dziekana Wydziału Filologicznego, twórcy rzeszowskiej polonistyki – jak trafnie to napisał prof. Piotr Żbikowski – którego marni aparatczycy partyjni i także miłośnicy postaci uczelniane wygnały z Rzeszowa w 1972 roku, a wraz z nim sekretarzowanie redakcji porzucił natychmiast i Stanisław Gębala.

Słowa na wojnie rodziły się latami, zanim autor zebrał te felietony w zbiorze książkowym, uporządkowane wedle pewnej spójności tematycznej i chwilami przenikające się – co zapewne wynika z natury naukowca – w mini eseje, jak choćby to *Nasze czytanie Mroźka* i wiele podobnych z owego rozdziału *Mroźek i inne lektury*. Polityka i literatura, historia i namietności współcześnie powodowane irytującymi wydarzeniami i postępowaniem aroganckich, władczych postaci są znakomitym tworzywem dla autora. I wszystko jak w dobrej literaturze, nieprzemijające w swych przesłaniach, trafności ocen i refleksji im towarzyszących. Autor, mieszkający obecnie w Gdańsku, może znowu zawitać do Rzeszowa z lekturą jego książki – ciągle młody w buntowniczym postrzeganiu nieprawości i podłości, jak wtedy gdy był tu wśród nas, i z wyraźnym też dystansem nabytych doświadczeń i wiedzy obecnej Stanisława Gębali profesorskim tytułem potwierdzonych, bo metrykalnie wszak autor osiągnął status osiemdziesięciolatka.

■ Ryszard ZATORSKI

Z AMERYKI DO RZESZOWA

Cenny dar prof. Kazimierza Brauna



Andrzej Piątek

Kazimierz Braun, reżyser i pisarz od lat mieszkający i tworzący w Stanach Zjednoczonych, przekazał polonistyce Uniwersytetu Rzeszowskiego 40-letnie archiwum dokumentujące współpracę z Tadeuszem Różewiczem.

Długo w Polsce niepamiętany Kazimierz Braun przed kilkudziesięciu laty należał do ścisłej czołówki twórców teatru i był artystą o niemałych osiągnięciach i oryginalnych pomysłach. Po doktoracie i habilitacji realizował się też jako pedagog. W roku 1985 za działalność opozycyjną usunięty z polskiej przestrzeni teatralnej i akademickiej wyjechał do Stanów, gdzie wykładał na uniwersytetach od Nowego Jorku, po Pensylanię, Santa Cruz i Buffalo. A reżyserował w teatrach Los Angeles, Minneapolis, Princeton, Buffalo oraz Kanadzie i Irlandii. Ważnym obszarem pozostawał mu współczesny dramat polski, szczególnie Różewicz, z którym znajomość przerodziła się w przyjaźń trwającą aż do śmierci autora *Kartoteki*.

Wybitny reżyser gościł na konferencjach organizowanych przez rzeszowską uniwersytecką polonistykę na temat literatury emigracyjnej i zamieszczał rozprawy w uczelnianych monografiach. Opublikował też w Rzeszowie w roku 2013 książkę *Mój Teatr Różewicza*.

Ta znajomość z uniwersyteckim środowiskiem rzeszowskim zaowocowała przekazaniem prywatnego archiwum cyfrowego. Dar ten powiększył się wkrótce o unikatowe oryginały korespondencji Brauna z Różewiczem, fotografie i scenariusze sztuk, listy i pocztówki pisane ręcznie (Różewicz nie posługiwał się ani maszyną do pisania, ani komputerem). Listy od poety wzbogaciły kopie korespondencji Brauna do Różewicza oddające ich poglądy i osobiste sądy.

Archiwum Różewiczowskie obejmuje lata ich współpracy od wyjazdu Brauna w 1985 do śmierci Różewicza w 2014. Są to listy z lat



Kazimierz Braun



Tadeusz Różewicz

1986–2014 i karty pocztowe, teksty Brauna dotyczące twórczości dramatycznej Różewicza, wykaz dzieł Różewicza w reżyserii Brauna, maszynopis artykułu *Tadeusz Różewicz – a Playwright for the Electronic Age* i programy teatralne.

Także korespondencje Brauna z wydawcami odnośnie do druku monografii Różewicza, jej omówienia, listy polecające, recenzje przedstawień, jak *Akt przerywany* i *Stara kobieta wysiaduje* w Lublinie (1970 i 1973), *Przyrost naturalny* i *Pułapka* we Wrocławiu (1979 i 1984), *The Old Woman* w Dublinie (1983), *Odejsie głodomora* w Buffalo (1987) i inne. Fotografie, dedykacje, płyty CD z przedstawień Różewicza w reżyserii Brauna, egzemplarze reżyserskie (m.in. *Przyrostu naturalnego*, po polsku i angielsku).

Jest to dar niebywały, którego rangę trudno przecenić. Niezwykły materiał do badań nad twórczością nie tylko Różewicza, ale też Kazimierza Brauna, niesłusznie, bez powodu, w Polsce zapomnianego twórcy teatru.

■ Andrzej PIĄTEK

REALIZM MAGICZNY

Kwiat paproci na inaugurację Przestrzeni Sztuki



Monika Midura

24 października w Teatrze im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie odbyła się oficjalna inauguracja rzeszowskiej części ogólnopolskiego projektu Przestrzeni Sztuki. Inauguracja została połączona z premierą spektaklu *Kwiat paproci* w reżyserii Martyny Łyko. Rzeszowska publiczność miała okazję zobaczyć tę inscenizację w formie widowiska plenerowego już dwa lata temu podczas festiwalu Trans/Misje. Teraz współczesną interpretację słowiańskiej baśni będzie można podziwiać na Dużej Scenie, a także podczas występów gościnnych w ośrodkach kultury innych podkarpackich miast.

„Czy kwiat może dać szczęście? – zachęca widzów do spotkania z jej sztuką Martyna Łyko. – Czy zasługujemy na coś, na co nie zapracowaliśmy? Nasz *Kwiat paproci* to stara słowiańska baśń i współczesna historia ujęta w konwencji realizmu magicznego. Protagonista Jacus nie chce żyć według przyjętych norm, wybiera więc własną drogę. A jest to droga na skróty, która wiedzie przez ciemny, gęsty las. Tancerze wychodzą naprzeciw własnym ograniczeniom. Aktorzy prowadzą opowieść, a aranżacje dźwiękowe i wizualne tworzą świat, w którym widz ma prawo się zanurzyć. Prowadzi nas

rytualność. Interpretujemy dawne zwyczaje, przyrównując je do naszych, dzisiejszych. Tworząc, wychodzimy od gotowych form, jakimi są baśni oraz pieśni i tańce pochodzące z repertuaru zespołu ludowego, i zastanawiamy się nad formami teatru teraźniejszego jak i przyszłego. Łączymy to, co znamy, z tym, co w przyszłości będzie wprawiać nas w ruch. Wychodzimy ze strefy komfortu, badamy obrany materiał, podajemy go interpretacji i w pełnym zaufaniu w nowej formie oddajemy go w ręce widzowi. Wierzymy, że wspólne przeżycie zaprowadzi nas dalej”.

Scenariusz *Kwiatu paproci* napisał Michał Szymaniak, scenografię i kostiumy przygotowała Anna Maria Karczmarzka, choreografię Tobiasz Sebastian Berg, muzykę Kamil Tuszyński, a oprawę wizualną Anastassia Vorobiova. Występują: Justyna Król, Mateusz Marczydło,



Fot. Maciej Patowski

Scena ze spektaklu „Kwiat paproci”

Anna Demczuk, Paweł Gładys oraz tancerze Zespołu Pieśni i Tańca Rudki.

Rzeszowski Teatr jest jednym z czterech ośrodków teatralnych w Polsce zaproszonych do udziału w programie Przestrzenie Sztuki, który umożliwi m.in. prowadzenie działalności angażującej środowiska lokalne, prezentacje spektakli poza siedzibą teatru, organizacje projektów społecznych i edukacyjnych. To rozwijany pod auspicjami Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego przez Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego oraz Instytut Muzyki i Tańca pilotażowy program powołania ogólnopolskich, interdyscyplinarnych centrów kultury, prowadzonych we współpracy ministerstwa, samorządów, organizacji pozarządowych, uczelni artystycznych oraz sektora prywatnego i opierających się na istniejących instytucjach kultury. Idea programu opiera się na czterech filarach: artystycznym, edukacyjnym, społecznym i prozdrowotnym. Pierwsze wydarzenie w ramach Przestrzeni Sztuki odbyło się w Rzeszowie już miesiąc temu, kiedy w teatrze zgromadzili się wielbiciele poezji i malarstwa (wieczór poetycki *prze_cięcia* Pacześniak Dłuski Pacześniak). Z oficjalnym otwarciem projektu czekano jednak do premiery spektaklu *Kwiat paproci* w reżyserii Martyny Łyko, który jest pierwszym przedstawieniem zrealizowanym w jego ramach. Tuż przed premierą *Kwiatu paproci* obejrzelśmy także popis aktorski uczestnika Młodej Sceny Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie Bartosza Rułki, który wystąpił w monodramie *Pojedynek* na podstawie powieści Trans-Atlanty Witolda Gombrowicza.

■ Monika MIDURA

PAMIĘTAĆ O ARTYSTACH

Jerzy Gaczek – muzyk z Przeworska



Andrzej Szypuła

Podczas prób i premiery operetki *Zaręczyny przy latarniach* J. Offenbacha, która staraniem Rzeszowskiego Teatru Muzycznego „Olimpia” miała miejsce w naszej filharmonii we wrześniu 2020 roku, w rozmowie z reżyserem prof. Feliksem Widerą z Akademii Muzycznej w Katowicach wspominaliśmy znanych artystów muzyków pochodzących z Podkarpacia. Jednym z nich okazał się świetny pianista, kompozytor i dyrygent, znakomity akompaniator Jerzy Gaczek – urodzony 31 grudnia 1910 roku w Przeworsku, zmarły 15 października 2013 roku w Warszawie w wieku 103 lat.

„Nie pochodziłem z dobrze sytuowanej rodziny. Musiałem zacząć zarabiać. Matka grała na fortepianie, można powiedzieć, że zdolności pianistyczne odziedziczyłem po niej. Zostałem więc akompaniatorem, bo dawało to dobre zarobki, a poza tym przychodziło mi to łatwo, nie czułem tremy” – wspominał. Od 1916 roku jego rodzina mieszkała w Krakowie; tam artysta zdał maturę, ukończył Instytut Muzyczny

i już w latach trzydziestych pracował jako pianista akompaniator. Po wojnie był stałym akompaniatorem Polskiego Radia w Krakowie. W 1947 roku przeniósł się do Opery Śląskiej w Bytomiu, potem do Teatru Wielkiego w Warszawie, gdzie pracował ze znakomitymi solistkami i solistami, jak Ada Sari, Ewa Bandrowska-Turska, Bernard Ładysz, Andrzej Hiolski, Wiesław Ochman.

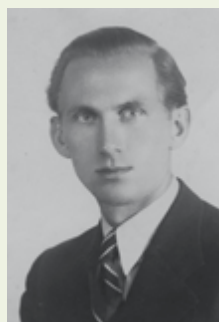
Związał się także Jerzy Gaczek z Operetką Warszawską, której był kierownikiem muzycznym i dyrygentem. Przyjaźnił się ze wszystkimi

artystami, z którymi pracował. Jak go wszyscy wspominają, był zawsze opanowany, świetnie przygotowany, znakomicie grał na fortepianie, znał się na wokalistyce, był bardzo lubiany przez publiczność. Artysta zajmował się także komponowaniem, m.in. pieśni, które opracowywał do końca swojego długiego życia.

Artysta spoczął na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. Nabożeństwo żałobne odbyło się 21 października 2013 roku o godz.

14.40 w kościele św. Karola Boromeusza na Starzych Powązkach w Warszawie.

Warto pamiętać o takich utalentowanych i pracowitych artystach z Podkarpacia, jak Jerzy Gaczek pochodzący z Przeworska. Dzięki nim



Jerzy Gaczek

ta wielobarwna mozaika muzycznych zdarzeń i dokonań świeci na firmamencie polskiej kultury muzycznej jasnym i ożywym blaskiem.

■ Andrzej SZYPUŁA



Papa się żeni to uroczą komedię muzyczną opartą na polskim przedwojennym filmie o tym samym tytule z 1936 roku, pełną żartu i humoru, i takich szlagierów. Ten najnowszy spektakl Rzeszowskiego Teatru Muzycznego „Olimpia”, przygotowany według scenariusza Tomasza Dajewskiego, w opracowaniu muzycznym Andrzeja Szypuły, ze scenografią Marka Mikulskiego, w wykonaniu utalentowanych artystów Rzeszowskiego Teatru Muzycznego „Olimpia” pracującego pod opiekuńczymi skrzydłami Estrady Rzeszowskiej, będzie można obejrzeć i wysłuchać 30 listopada 2020 r. w poniedziałek o godz. 18.00 w sali koncertowej Filharmonii Podkarpackiej. ■



CAŁKIEM INNA REDAKCJA

Józef Ambrozowicz

Po pięciu latach pracy w redakcji „Prometeja”, w 1980 r. przeszedłem do Oddziału Krajowej Agencji Wydawniczej. Ściągnął mnie red. Zygmunt Klatka, który niedługo wcześniej został naczelnym i chciał powiększyć skład zespołu dziennikarskiego. Szybko zrozumiałem, że moje nowe miejsce pracy to nie jest jedynie jakaś inna redakcja, tylko całkiem inna redakcja. Owszem, dziennikarskie doświadczenia są niezbędne, ale daleko niewystarczające. Potrzebna jest wiedza z zakresu edytorstwa i tę należało zdobyć. Ponieważ jako zastępca redaktora naczelnego zostałem równocześnie szefem redakcji wydawnictw, wyruszyłem po tę wiedzę w pierwszej kolejności. Podjąłem studia dyplomowe na Uniwersytecie Warszawskim (dla pracujących, oczywiście) o specjalności edy-

skie z głównego nakładu. – Żle – usłyszałem – bardzo źle. Autor powinien dostać pierwszy egzemplarz. On jest dla wydawnictwa najważniejszy. Bez niego nie byłoby książki. – Oczywiście, niezwłocznie wprowadziłem tę uwagę w życie.

Na studiach edytorskich poznałem także wiele innych znakomitości. Wśród nich profesora Bogdana Michalskiego, który wykładał prawo autorskie. Teoretycznie można się tego nauczyć z podręcznika, ale są tu również bardzo ciekawe precedensy i niuanse, tak że tylko od wybitnego praktyka można to prawo głębiej poznać. Profesor Michalski omawiał z nami również głośne procesy sądowe, np. słynną przed wojną sprawę Gorgonowej, Proces ten, jako poszlakowy, elektryzował opinię publiczną w latach 1932–1934.

Dyskutowaliśmy też z profesorem Michalskim na temat procesu w tzw. aferze mię-

uszanować osobisty dramat tego człowieka. Czy robienie zdjęć leżącemu oskarżonemu było konieczne? Dla kogo? Do gazety? Kto to wydrukuje? Więc po co? Czy fotograf jest człowiekiem, czy tylko bezmyślną maszyną naciskającą spust migawki? Jeszcze inni mówili: fotograf powinien zrobić to zdjęcie. To była jego powinność. Ale fotografia nie należy do niego. Jest jej autorem, ale nie właścicielem. Ona należy do CAF-u. I to CAF, albo jego mocodawca, czyli tzw. dysponent polityczny, może zdecydować, czy to zdjęcie ujrzy światło dzienne, czy nie. O ile pamiętam, do konkluzji nie doszło. W każdym razie dziś takie pytania by nie powstały, bo dziś wszystko jest na sprzedaż.

Krajowa Agencja Wydawnicza należała do największych wydawnictw w Polsce. Centrala tej firmy mieściła się w Warszawie przy ulicy Wilczej 46, ale było jeszcze 10 oddziałów w największych miastach w kraju. Nasz oddział wyróżniał się liczbą wydawanych tytułów i wielkością nakładów. Zatrudnienie wynosiło ok. 40 osób, a siedziba mieściła się w zabytkowej willi przy alei Komunistów 10, wykupionej z rąk prywatnych i gruntownie wyremontowanej na potrzeby wydawnictwa. Do 1958 r. aleja ta nosiła historyczną nazwę Pod Kasztanami (od 1868 r.) i powrócono do niej w 1990 r. Kiedy tam pracowałem, całą dekadę lat osiemdziesiątych, kursował wśród rzeszowian taki dowcip: – Panie, gdzie tu będzie Komunistów 10? – Oj, panie, obawiam się, że dziesięciu komunistów to pan w Rzeszowie nie znajdzie!

Wraz z rozwojem firmy powiększała się także jej baza. Przy ulicy Marchlewskiego 4 (dziś Lisa-Kuli) została wykupiona i wyposażona kamienica, do której się przenieśliśmy z redakcją wydawnictw, zaś przy ulicy 3 Maja w wynajętym od miasta budynku został urządzony salon wydawnictw KAW. Firma, dzięki zapobiegliwości redaktora naczelnego Zygmunta Klatki i doborze dobrych pracowników, rozwijała się wspaniale. Oferta wydawnicza była bardzo bogata. Wydawaliśmy literaturę dziecięcą (klasyczną i w oparciu o autorów współczesnych, także miejscowych), beletrystykę i literaturę piękną, mnóstwo regionalistów i, niestety, także cegły partyjne, gdyż jako część koncernu RSW Prasa–Książka–Ruch byliśmy poddawani w tym zakresie politycznym naciskom. Ale to był margines.

Kiedy w stanie wojennym – wobec niedrukowania gazet – powstały w Polsce gigantyczne zapasy papieru gazetowego, postanowiliśmy je zagospodarować na... serię lektur szkolnych. Wymyślił to nasz szef i to był strzał w dziesiątkę. Mimo że edytorsko nieco siermiężne, lektury szły jak woda. A nakłady były wręcz nieprawdopodobne, od pół miliona do 800 tysięcy egzemplarzy każdy tytuł. Tak wygłodniały był rynek! Dziś są to już tylko wspomnienia. Można by powtórzyć za Sienkiewiczem: I tak minął KAW, jak mija wichur, pożar, wojna lub mór. Nie spełniła się wyrocznia profesora Balcerowicza, iż to, co państwowe, będzie zawsze gorsze od tego, co prywatne.

■ Józef AMBROZOWICZ

Fragmety wspomnień obejmujące lata 1950–2020 przygotowywane do druku w książce pt. *Powroty do zdarzeń*.



Grupa pracowników KAW. Od lewej: Stanisław Turek, Władysław Wójtowicz, Alicja Koziorowska, Stanisław Ożóg, Józef Ambrozowicz, Dorota Majewska i Zygmunt Klatka. Fotografia z końca lat osiemdziesiątych XX w.

torskiej i na bieżąco przenosiłem najważniejsze zagadnienia „w dół”, czyli podczas spotkań z zespołem redakcyjnym. Równocześnie przez kilka lat podejmowali te studia kolejni pracownicy firmy, aż staliśmy się w pełni profesjonalnym wydawnictwem książkowym.

Nieocenione zasługi miała w tym względzie pani redaktor Krystyna Goldbergowa, która – jako znakomity praktyk – prowadziła na uniwersytecie zajęcia z edytorstwa. Była wieloletnią wiceszefową Wydawnictwa „Iskry”, „matką polskich reporterów”, redagowała m.in. książki Melchiora Wańkowicza. Miałem zaszczyt gościć ją także w moim mieszkaniu w Rzeszowie. Byłem wielce zaszczycony kiedy przeszliśmy „na ty”. Pamiętam jak kiedyś, na początku zajęć na uniwersytecie, zapytała mnie, kto u nas w firmie dostaje pierwszy egzemplarz świeżo wydanej książki. Odpowiedziałem, że pierwsze, tzw. sygnałne egzemplarze idą do naszej centrali w Warszawie, następnie do komitetu (partii, rzecz prosta), do departamentu książki w Ministerstwie Kultury, no i do Biblioteki Narodowej. – No, a autor? – zapytała. – Autor – odpowiedziałem – dostaje egzemplarze autor-

snej. Otóż w 1965 r. przed sądem wojewódzkim w Warszawie stanął dyrektor stołecznego przedsiębiorstwa handlu mięsem Stanisław Wawrzecki i został skazany na karę śmierci. Był to jedyny wyrok śmierci za przestępstwa gospodarcze wydany po 1956 r. Głównego oskarżonego powieszono. Sprawa ta jest znana, proces był relacjonowany przez media i wówczas, jak i potem, ustalono ponad wszelką wątpliwość, iż oskarżony był winien i że wziął olbrzymie łapówki. Rzecz w tym, że kara była drakońska i wręcz nieludzka. Nam jednak w dyskusji chodziło o incydent podczas ogłoszenia wyroku. Mianowicie kiedy sędzia odczytywał sentencję, a oskarżony usłyszał wyrok, zemdłał i padł nieprzytomny przy ławie oskarżonych. Wówczas fotoreporter Centralnej Agencji Fotograficznej podbiegł do leżącego i zrobił mu serię zdjęć. Padały pytania, czy zachowanie fotoreportera było etyczne. Część naszych kolegów twierdziła, że etyka nie ma tu nic do rzeczy. Fotoreporter jest „na służbie” i jest tam po to, żeby robić zdjęcia. Zdarzył się wypadek czy incydent i on go utrwała na kliszy. Inni twierdzili, że zachowanie fotoreportera było naganne. Powinien



WIROWANIE NA PLANIE

KONTRASTOWE ZADĘCIE

No i mamy uchachany kraj, tragiczny kraj. Kontrastowe zadęcie nieprzypadkowe. Premier Morawiecki tak radośnie odwoływał przed wyborami koronawirusa, że ten usłyszał i ochoczo wrócił w jeszcze większej wirusowej sile. Skutek już mało śmieszny. Zupełnie nieprzygotowany państwowy system odpornościowy i ochronny został sponiewierany już we wrześniu. Pomimo licznych usilnych nawoływań specjalistów władza poszła na igrzyska partyjne, zamiast do przygotowania kraju na drugi atak pandemii. Ograniczono się do zaleceń: dystansu społecznego, mycia rąk, dezynfekcji i noszenia maseczek. Przecież to jest tak naiwne, jak sen erotyczny bardzo leciwej panny. Chociaż z tym maskowaniem bywa także zabawnie. Z trudem wielu maskowiczom daje się wytłumaczyć, że noszenie maseczki na brodzie to tak, jakby nosić majtki na kolanach. Jeśli do tego dołożymy rewelacyjną metodę prozdrowotną i odpornościową na wszelkie zagrożenia epidemiczne, wymyśloną przez lekarza i byłego marszałka Karczewskiego, to już jest pełnia szczęścia. Brzmi ona – jedno jabłko z wieczora i nie trzeba doktora.

Wszystko jest spóźnione, planowane głównie w wymiarze dwutygodniowym. Szybko trzeba było zmieniać sposób działania oświaty i szkolnictwa wyższego, chociaż znawcy tematu bili na alarm już w czerwcu. Mówił dziad do obrazu! Nagle okazało się, że wszystkiemu winni są leniwi lekarze, ospałe pielęgniarki i paskudni samorządowcy. Zgroza! Jedynie władza pluje krwią z przepracowania. Tyra dniem i nocą, aż plecy się jej pocą, jak pisał pewien szopkarz. Chociaż chciałbym przypomnieć, że niektóre pradawne ludy, chcąc uwolnić się od epidemii i innych nieszczęść, składały ofiary z rządzących. Nie zachęcam do tego, ale tylko tak przypominam.

Znowu okazało się, że największym zagrożeniem epidemicznym jest gastronomia, chociaż nikt tego wiarygodnie nie stwierdził. Znowu ograniczenie spotkań do pięciu osób. Gdyby Ostatnia Wieczerza miała miejsce teraz, trzynaście osób podlegałoby karze za złamanie tego zakazu. I nie pomogłyby tłumaczenia, że to naprawdę ostatni raz. Przecież gastronomia to źródło dochodu dla około miliona rodaków. Te niby osłowne ochłapy od władzy wystarczają na waciki. Z dań na wynos gastronomia nie wyżyje. A może tak zafundowalibyśmy sobie rząd na wynos?

Jakby wszystkich epidemicznych zmartwień było za mało, Prezes I Ogrozny zafundował nam dodatkowe atrakcje. Wpierw ustawą w sprawie tak zwanej piątki Kaczyńskiego obudził rolników. Wyjechali i powychodzili na ulice, skutecznie je blokując. Pisałem już o tym. Jednego tylko nie mogę pojąć. Dlaczego owi rolnicy wożą gnojówkę do Warszawy? No, gdyby na Nowodrodzką, to byłoby jako tako uzasadnione, ale nie do centrum. Przecież ów rząd nie wybrała stolica, a głównie polska wieś!

Prezes, w czasach nasilania się epidemii, zamierzał spłacić dług hierarchom kościelnym i odebrać kobietom prawo do aborcji w przypadku nieodwracalnego, ciężkiego upośledzenia płodu. Już raz taką próbę podjął, ale wycofał się pod naporem protestujących kobiet. Sądził, że obecnie kobiety przestraszą się pandemii i jakoś to będzie. Jakoś nie jest. Trybunał Julii Przyłębskiej uchwalił, że takie prawo – obowiązujące bez mała trzy dekady – jest bezprawne. Kobieta kobiecie zgotowała ten los. Kobiety – i nie tylko – wyszły na ulice i to nie wyłącznie w dużych miastach. Najgorsze dla władzy jest jednak to, że obudziła się młodzież, również ta akademicka. Dotychczas młodzi w nosie mieli wszelką politykę. Teraz ruszyli, a to nigdy w naszych dziejach dobrze nie rokowało rządzącym. Władza przez kilka lat miała taki spokój. To już jednak historia. Ulicę zaczęły rządzić emocje, które trudno będzie opanować, gdyż każda tu podjęta przez władzę akcja rodzi z wielokrotną kontrreakcją.

Mnie najbardziej rozbawiło zniesmaczenie wulgaryzmami używanymi podczas manifestacji przez samego prezesa, tego od zdradzieckich mord i chamskiej hołoty. A już o kolkę ze śmiechu przyprawiła mnie trybunistka Pawłowicz, gdy zapałała świętym oburzeniem na nieparlamentarny język używany podczas marszów kobiet. Przecież powszechnie znana jest jej wysublimowana elegancja, nie tylko językowa.

■ Roman MAŁEK



ODPRYSKI

ŻYWI I ZMARLI

Dzień 1 listopada jest przyjęciem uniwersalizmu przez ludzi. Wszyscy, którzy odeszli, pochodzący z wszystkich ras i wszystkich epok są święci. Znamy z imienia zaledwie małą cząstkę tego tłumu. Najczęściej tych nam najbliższych. A jest ich przecież niezliczona liczba. Są nam święci. Niebios zabrały nam ich woń, a my, w dniu 1 listopada, oddajemy im cześć, wielbiąc wszystkich. Kult zmarłych to hołd złożony wysiłkowi ludzi i ich życia. Panowali nad żywiołami, nad przestrzenią i czasem. Pamięć niezniszczalna, wciąż aktywna, wciąż promieniująca stanowi złoza energii silniejszej niż atomowa, zdolnej przeobrazić świat.

Dzień Wszystkich Świętych posiada także znaczenie społeczne. Bo świętość nie ogranicza się do siebie samej. Święci służyli bliźniemu. Stwórca stawał przed nimi w postaci każdego człowieka potrzebującego pomocy. Szli ku niemu, stąpając po ziemi. Byli wielkimi reformatorami, piętnującymi nadużycia i krzywdy społeczne. To stara prawda, że żaden święty nie idzie do nieba sam. Dąży za nim liczny orszak porwany jego przykładem. Bo byli opiekunami i orędownikami ludzi. Bo umiłowali swoje strony i swych rodaków. Ich wstawiennictwo tworzy niby baldachim opiekuńczy, rozpostarty nad ich ziemią ojczystą.



Nazajutrz po Wszystkich Świętych nastaje Dzień Zaduszny. Te dwie uroczystości dopełniają się wzajemnie jak światło i cień. Wiara tryumfująca i wiara cierpiąca, jedna w blasku, druga w bólu. My zaś, oczekujący własnego zbawienia, korzystamy z pomocy jednych, wspomagamy drugich. I na tym polega wielkie ludzkie misterium. Dzień Zaduszny jako uroczystość kościelna pochodzi z X wieku, zapoczątkowana przez świętego Odyłona, opata benedyktynów w Cluny. Piękny fresk Jana Henryka Rozena w katedrze ormiańskiej we Lwowie przedstawia chwilę, gdy zgodnie z legendą rój dusz czyścących otacza ciało zmarłego opata, witając u progu wieczności swego opiekuna. Dzień Zaduszny tchnie nadzieją. Bo kult zmarłych istniał zawsze, wiara w życie pośmiertne jest rówieśnicą ludzkości. To więcej niż wiara, bo przeświadczenie, wrodzony instynkt, pewność. Geniusz grecki dał temu wyraz w słowach Achillesa: „Lepiej być pastuchem na ziemi niż królem w krainie cieniów!”

Kiedyś w Polsce każdej jesieni, gdy Droga Mleczna bladła, a gwiazdy stawały wysoko na niebie, na naszych ziemiach obchodzono Święto „Dziadów”. Palono ognie, wróż okryty białą końską skórą wywoływał kolejno imiona wszystkich zmarłych, rzucając za każdym imieniem nieco jada w ogień. Wierzono, że zmarli zwołani przychodzą, że posilają się jak niegdyś. Że błogosławiona siła pokarmów, mleka, kaszy przenika ich mgliste członki, pozwala na tę jedną noc stać się podobnymi do żywych. Kto by się odwrócił, ujrzałby ich twarz w twarz. Piękne i wzruszające. I komu to przeszkadzało.

■ Tekst i grafika
■ Zbigniew GRZYŚ



Jerzy Maślanka

STREFA CZERWONA

W kwietniu pisałem: sam nie wiem skąd problem nam nagle w kraju wyrósł, przypłynął skrycie chyba pod prąd obywatel koronawirus.

Ja się nie będę z wersją kłócił, „przyjaciel Putin” go podrzucił, na pewno sprytnie to dokonał, że cała Polska jest czerwona.

Wtedy pan premier rzekł otwarcie, cóż taki covid – mamy tarcze, które przepędzą jakies nico, co tak szaleje za granicą.

Wybory – zgoda narodowa, niech wszyscy idą zagłosować. Szepty seniorów słyhać wszędzie, Adrian nam za szcepionkę będzie.

Nad morze, w góry, bo wakacje, jest pokonany, rząd ma rację. Tak łatwo poszło – nie do wiary, Szumowski frunął na Kanary.

A w telewizji Kurski głosił, że Europa wprost nas prosi, pokażcie walki swej tajniki, jak takie dobre mieć wskaźniki.

Tymczasem wyszła prawda stara, co na ekranie – nie w szpitalach, bo specjaliści mówią ludowi: on się na dobre zadomowił.

Dlatego dzisiaj słupki, diagramy to przodujące w świecie mamy. I nad tym płacze suveren cały, że nie przynoszą nam żadnej chwały. Bo postęp wzrostu jest krytyczny, ciąg przypomina geometryczny, osiąga prawie wykresu kres, co ewidentną klęską jest.

Nagle się ocknął nasz parlament, precz ten niepokój, bojaźń, zamęt, są nowe tarcze, świetne ustawy, cud zarządzenia, mega odprawy, które nadzieję budzą wśród ludzi, bo się Terlecki wreszcie obudził.

PS
W Sejmie marazmie wciąż mamy tkwić, i w rękę trzymać Ariadny nić?
Czy to naprawdę dziś nam wystarczy?
Z tarczą wrócimy, czy też na tarczy?
Cios epidemii celnie nas trafił.
Pokażmy,
że Polak może, musi, potrafi!



Nina Opic – SEKRETY ŻYCIA

CIERNIE I PERŁY

Człowiek od urodzenia pragnie szczęścia, swoistego dobrostanu fizycznego i psychicznego. Nie zawsze jest mu to od razu dane. Ciernie napotykanie na swojej drodze ranią, ale też w jakiś sposób hartują. Stąd ponadczasowe powiedzenie: „Co cię nie zabije, to cię wzmocni”. Może i trąci truizmem, ale ma w sobie pewne mądre przesłanie, że w każdej sytuacji jest jakieś światło w tunelu, tylko trzeba to dostrzec i wyciągnąć dla siebie wnioski na przyszłość. Nikt nie może powiedzieć, że jego życie to ustawiczna linia cierni. Wśród owych cierni jest też czas na oddech, na powstanie, na przemyślenie wielu spraw. I to są swoiste perły wśród cierni, tylko dajmy im czas zaistnieć w naszych myślach, słowach i czynach. Colleen McCullough, autorka książki *Ptaki ciernistych krzewów*, według której nakręcono pamiętny film z Richardem Chamberlainem w roli przystojnego księdza Ralpha, który zamotał się w życiowe i uczuciowe ciernie, tak mówi na jednej ze stron książki: „Sami stwarzamy własne ciernie i ani przez chwilę nie zastanawiamy się nad obecnymi i przyszłościowymi kosztami. Ze zranionym sercem i pochyloną głową pozostaje nam akceptować te ciernie i wmawiamy sobie, że warto było. Czy to znaczy, że ciernie pozostaną z nami do końca naszych dni? Tak Bóg chciał, czy tak myśmy wybrali?”. Czyż te słowa nie stanowią pewnego rodzaju otryźwienia? Są czymś cennym, co może nas wzbogacić, a przez to nasze życie może nabrać innego przekazu. Aby jednak chcieć oczekiwać zmian, trzeba być na te zmiany gotowym, o czym przekonywał już Hipokrates, zwracając się do swoich uczniów: „Jeśli nie jesteś gotowy do jakiegokolwiek zmiany w swoim życiu, to w żadnym wypadku nie oczekuj, że ktoś to uczyni za ciebie, a ty będziesz zbierał gałązki oliwne. Trzeba się pokłóć, by później, poprzez uzyskaną gotowość do zmian, móc cieszyć się pięknem”. Nic dodać, nic ująć. To właśnie uzyskana dzięki wszelakim kolejom życia mądrość jest tą perłą wśród cierni. Pamiętajmy o tym nie tylko w czasie pandemii, ale każdego dnia, bo ciernie nie mogą przysłonić pereł... ■



SMAKI RODZINNE Iga Szumska poleca

TORT JUBLEUSZOWY (tylko dla dorosłych)

Ciasto: 10 jajek • 5 dag kakao • 2 łyżki mąki (1 pszenna, 1 ziemniaczana) • 1 łyżeczka proszku do pieczenia

• 1 szklanka cukru • cukier waniliowy. Żółtka utrzeć z ½ szklanki cukru, dodać przesianą mąkę, proszek do pieczenia i kakao. Białka ubić na sztywno z resztą cukru, dodać do ciasta, delikatnie połączyć. Piec w tortownicy 26 cm ok. 40 minut w temperaturze 180°C. Zimne ciasto przekroić na 3 platy.

Masa orzechowa: 20 dag orzechów włoskich mielonych wymieszać z dwoma garściami cukru pudru i cukrem waniliowym. Zalać czystą wódką, tak aby orzechy w całości zostały zamoczone.

Masa czekoladowa: 3 jajka • 10 dag cukru • 3 łyżki kakao • 25 dag miękkiego masła.

Na parze ubić jajka z cukrem na puszystą, gęstą masę. Pod koniec ubijania dodać kakao, odstawić i jeszcze ubijać, by lekko ostudzić. Utrzeć masło na puch, dodawać stopniowo całkowicie ostudzoną masę jajeczną.

Dodatkowo: posiekane lub mielone orzechy włoskie • czekolada.

Poncz: zagotować wodę z cukrem, ostudzić, dodać 1 łyżkę alkoholu.

Ułożenie: ciasto – poncz – masa orzechowa – ciasto – poncz – ½ masy czekoladowej – ciasto – poncz – reszta masy na wierzch i boki. Boki można obsypać orzechami, a wierzch ozdobić tartą czekoladą i masą.



FRASZKI

Adam Decowski

SKLEROZA

Skleroza to choroba niegroźna, jak wiece, pozwala się zapomnieć, lecz nie przy kobiecie.



Czesław P. Kondraciuk

PORA

Kiedy się kończy szybki bieg z górki, nadejdzie pora przykręcać kurki...

SPOTKANIE NA SZCZYCIE

A jednak – jak głosi lektura – z „górami” spotyka się „górami”.



Małgorzata Żurecka

CZY WYBIELAJĄ?

Złe słowa oczerniają, ale czy dobre wybielają?

OBRAZY

Obrazy słowem malowane, poezją są pisane.



AFORYZMY

Mirosław Welz

Mrówka jest mądrzejsza od Diogenesa, idzie.

Naga i czysta, wielokrotnie gwałcona, prawda.

To nie historia się powtarza, tylko ludzie są tacy sami.

Tylko człowiek jest zdolny do nieludzkich zbrodni.

Poznasz kogoś



Baran (21 III–20 IV)

Warto byłoby posprzątać piwnicę i garaż przed zimą.



Byk (21 IV–20 V)

Kusi cię wyjazd w góry, ale poczekaj na lepszy czas.



Bliźnięta (21 V–21 VI)

Nie każde kichnięcie musi oznaczać to najgorsze.



Rak (22 VI–22 VII)

Masz sporo czasu – uporządkuj rodzinne zdjęcia.



Lew (23 VII–23 VIII)

Już teraz zacznij przygotowywać mikołajkowe i świąteczne prezenty.



Panna (24 VIII–22 IX)

Możesz mieć w pracy więcej obowiązków, ale poradzisz sobie.



Waga (23 IX–23 X)

Mars będzie sprzyjać udanym i niedrogim zakupom.



Skorpion (24 X–22 XI)

Pozbądź się nieopłacalnych zobowiązań



Strzelec (23 XI–21 XII)

Poznasz kogoś i mocniej zabije serce.



Koziorożec (22 XII–20 I)

Teraz musisz liczyć tylko na siebie i to z sukcesem.



Wodnik (21 I–19 II)

Na horyzoncie całkiem spora gotówka.



Ryby (20 II–20 III)

Masz dobry czas, aby zadbać o zdrowie i regenerację sił.



Nie marnujmy ciepła

Nie trzeba marznąć, żeby korzystać z ciepła rozsądniej. Wystarczy zastosować te same metody, które sprawdzają się przy używaniu wody, czy prądu. Korzystaj z ciepła wtedy, kiedy jest ci ono potrzebne. A gdy nie korzystasz, ograniczaj zużycie. W pustym pomieszczeniu, w którym nikt nie przebywa, nie ma potrzeby nadmiernego ogrzewania. Wydaje się to całkiem rozsądne, jednak - jak pokazują badania większość z nas przegrzewa mieszkania. A jak przekonuje Polskie Towarzystwo Alergologiczne, najzdrowiej żyje się w 20 stopniach.

www.20stopni.pl

20°C
20 STOPNI
DLA KLIMATU



07. RZESZÓW

FNT
2020

FESTIWAL NOWEGO TEATRU

21-28
listopada



to jest **TEATR**

59.
RZESZOWSKIE
SPOTKANIA
TEATRALNE



fnt-rzeszow.pl

WB
STUDIO
GRAFICZNE

DRUKARNIA • WYDAWNICTWO


- ◆ Kompleksowe rozwiązania w dziedzinie **druku** i **reklamy** dla firm, instytucji i odbiorców indywidualnych.



PROJEKT
POMYSŁ TECHNOLOGIA


DRUK OFFSETOWY
CYFROWY
SOLVENTOWY

WYDAWNICTWO
KSIĄŻKI CZASOPISMA BROSZURY

REKLAMA
TABLICE BANERY WITRYNY

 Hanasiewicza 4/210
35-103 Rzeszów

 790 790 265
 17 854-85-80

 wbx@wbxstudio.pl
 facebook.com/wbxstudio/